

MAGAZYN O KSIĄŻKACH

DAJĘ SŁOWO

www.czasopismodajeslowo.pl

NR 4 | PAŹDZIERNIK-GRUDZIEŃ 2023

Niedostępna
staroświeckość

Michał Krawczyk

WYWIADY

Joanna Mroczkowska
Feranos

Opowiadania:

Noc horrorów

Izabela Redesiuk

Pies

R.A. Olek

WYWIADY | OPOWIADANIA | RECENZJE

SPIS SŁÓW

SŁOWA NUMERU

- 10 **Possskromienie fobii** – Mariusz Łapiński
- 14 **Noc horrorów** – Izabela Redesiuk
- 37 **„Halloween od kuchni”** – Karolina Salwowska
- 45 **Olcha z Wilczej Doliny. Rozdział IV Cmentarz wyklętych** – Agata Kasiak
- 68 **Pies** – R.A. Olek
- 105 **Niepostępowa staroświeckość** – Michał Krawczyk

SŁOWO OSOBISTE (felietony)

- 42 **Nie taki debiut straszny** – Sylwia Gudyka

WYSŁOWIONE (opowiadania)

- 73 **Tarot** – Marta Kopacz
- 20 **Szesnaste piętro** – Aleksandra Gawlińska
- 93 **Letnia pieśń o Górze dwóch pór roku** – Katarzyna Michalewicz

SCHWYTANI ZA SŁOWO (wywiady)

- 32 **Czy naprawdę lubimy się bać?** – Kamila Goszczyńska z Feranosem
- 84 **Emocje są najważniejsze** – Iza w Krainie Słowa z Joanną Mroczkowską

DOSŁOWNIE (recenzje)

- 18 **„Strażnik Piekła”** – Sandra Langer
- 90 **Tego się nie spodziewałam... recenzja Gajowego** – Karolina Nizioł-Raczkiewicz
- 103 **„Apostata”** – Sylwia Gudyka

SŁOWA DOBRANE (wiersze/drabble)

- 67 **„Roszczenia” (poezja)** – Aleksandra Gawlińska
- 89 **Komu w drogę...(drabble)** – Stella M. Sit



SAMOWYDAWCY.pl

ADRES REDAKCJI

Ul. Gimnazjalna 10c/21,
55-011 Siechnice
tel. 696 071 318
redakcja.dajeslowo@gmail.com

REDAKTOR NACZELNY

Mateusz Rogalski

ZESPÓŁ

Izabela Redesiuk
Janusz Muzyczyszyn

ZASTĘPCZYNI

REDAKTORA NACZELNEGO

Monika Litwinow

REDAKCJA I KOREKTA

Jagoda Biskont
Katarzyna Mróz-Jaskuła
Alicja Szalska-Radomska
Anna Michalik-Czarnecka
Janusz Muzyczyszyn

SKŁAD I ŁAMANIE

Anna Hat

PROJEKT OKŁADKI

D.B. Foryś

PRENUMERATA www.czasopismodajeslowo.pl

Daję Słowo – że to był niezapomniany rok

Na wstępie przyznam, że będzie wyjątkowo osobiście. Pozwalam sobie na taką prywatę jedynie ze względu na wyjątkowość tego numeru.

Pamiętam jak dziś, kiedy pierwszy raz w życiu piłem absynt. Miśtyczny, zielony napój czeskiej produkcji, owiany mroczną legendą. Na tylnej etykiecie widniała informacja, że wciąż dla mnie obcym języku, że jest to eliksir nieco tajemniczy, nieco niebezpieczny i nieco magiczny – a przynajmniej tyle rozumiałem i tak mi się to w pamięci po dziś dzień utrwaliło. Taki właśnie ma być czwarty, ostatni w tym roku numer czasopisma „Daję Słowo”.

Nie będę rozpisywał się na temat strachu, koszmarów i horrorów, gdyż te na wszelkie możliwe sposoby będą poruszone w materiałach, jakie znajdziecie w bieżącym numerze. Liczymy natomiast, że pobudzą one wasze układy hormonalne do produkcji kortyzolu, adrenaliny, ale przede wszystkim dopaminy. Bo przecie wszyscy lubimy odrobinę bać się cieni, siedząc w bezpiecznym blasku domowego ogniska.

Pisząc dla Was ten wstęp, sam nie wiem, czy bardziej wydaje mi się nierealne to, że je piszę, czy to, że robię to już po raz czwarty. Rok temu po Gdańskich Targach Książki, grupa zapaleńców zebranych w hotelowym pokoju nabuzowana targową energią, wręcz zapłonęła podżegana moim pomysłem popełnienia czasopisma literackiego. Monika Litwinow, Izabela Redesiuk i Anna S. Cichosz wraz ze mną niemal do białego rana knuły, spiskowały i obmyślały, czym i jak by tu Was zaskoczyć. I choć po dłuższym weekendzie rozjechaliśmy się do domów, to chęć stworzenia czegoś nowego nie dawała nam spokoju. Blask tego pomysłu oślepił kolejno D.B. Foryś i Janusza Muzy-czyszyna, którzy dołączyli do grona naszych redaktorów. Redaktorów czasopisma – wciąż nie wierzę, że mogę się tak mianować. Myślę, że

kilka polonistek, które miały ze mną do czynienia w wieku młodzieńczym, z pewnością łapie się teraz za głowę.

Rok to naprawdę duży szmat czasu. Wiele się może wydarzyć, zarówno dobrego jak i tego mniej. Jednak płonący w nas ogień nadal przyciąga nowe osoby do bezpłatnej współpracy. Każdy kolejny numer składa się ze stałego zespołu autorów oraz orbitujących wokół nich debiutantów. Także grono naszej redakcji różni się od tego założycielskiego. Ale jak mawiał grecki filozof, Heraklit z Efezu: jedyną stałą rzeczą w życiu jest zmiana. A czego jak czego, ale zmian to my się nie boimy.

Myślę, że to jest ta tajemnica i magia naszego czasopisma. Tworzą grupy zapalonych wariatów, którzy cztery razy w roku oddają w Wasze ręce część siebie. Bo wiercie mi na słowo, że każdy z numerów kosztował nas łzy, pot i rozwój posiadanych już wcześniej wrzodów żołądka. Jednak jest to niczym w porównaniu z radością, jaką nam dają informacje zwrotne od Was, czytelników. Dlatego w imieniu członków zespołu redakcyjnego „Daję Słowo” (byłych i obecnych) oraz autorów do niego piszących, chciałem serdecznie podziękować wszystkim Wam, którzy nas czytacie. Dziękujemy również, że z taką żarliwością polecacie nas dalej. Wiercie, że robimy wszystko co w naszych mocach, aby każdy numer był lepszy od poprzedniego.

Liczymy, że to „Daję Słowo” wraz z dodatkiem „Daję Słówko” sprawią, iż otworzą się Wam oczy na nowe, nieznanne dotąd, doznania literackie.

Rogalski

Nie tak wielkie oczy horrorów, grozy i innych straszności

Monika Litwinow

Mateusz R.M. Rogalski

Monika Litwinow: Zaczynamy od literatury dla najmłodszych?

Mateusz Rogalski: Tak, bo w niej doszło do wielkiej transformacji. Zwróć uwagę, jak bardzo zmieniły się baśnie na przestrzeni dwóch wieków.

ML: Hans Christian Andersen pisał w połowie XIX wieku, Wilhelm i Jacob Grimmowie na początku XIX wieku. Ich baśnie przeszły ogromne przemiany. Dla przykładu oryginalna wersja *Śpiącej Królowny* była *de facto* opowieścią o gwałcie. Książę, będący zresztą w związku z inną kobietą, aby przebudzić zaklętą niewiastę, postanawia ją pojąć, ta urodziła kilkoro dzieci i obudziła się dopiero, gdy te poczęły gryźć ją po piersiach. Kandydatki dla księcia w *Kopciuszku* obcinały sobie palce, aby dopasować pantofelek. Dwieście lat temu dzieci słuchały o mordach, kaniibalizmie i innych okrucieństwach. Tylko czy to była groza lub horror?

MR: To były normalne, jak na ówczesne czasy, opowieści. Stare mity też mają okrutne motywy pełne przemocy i brutalności – ktoś komuś wydziobał wątrobę albo pożerał swoje własne dzieci. Dzisiaj wręcz jest tak, że coraz modniejsze są bajki bez złych bohaterów, np. *Merida Waleczna*, *W głowie się nie mieści*, *Magiczne Encanto*, *Między nami żywiołami* itp.

ML: Podobnie jest we współczesnej literaturze dla dzieci, gdzie nie ma złych bohaterów, a jeśli są, można uzasadnić ich zachowanie i je zmienić. Czy to znaczy, że odeszliśmy od przemocy, okrucieństwa, strachu i brutalności w historiach dla dzieci, by je chronić?

MR: Pamiętasz bajki z „naszych czasów”? Tom i Jerry, wilk i zając, kojot i struś pędziwiatr. Ja nie pamiętam bajek, gdzie bohaterowie by się nie bili. Okej, wyjątkiem były Kubuś Puchatek i Muminki, choć... W Muminkach były elementy

grozy! Każdy na pewno pamięta Bukę. Ciekawe, że obie te bajki pochodzą z Europy. A te wszystkie kreskówki na amerykańskim Cartoon Network? Non stop przemoc, walka i rywalizacja.

Być może teraz jest zbyt duży dostęp do obserwowania tego, co straszne w mediach: w programach informacyjnych, czy w Internecie. Dawniej nikt się nami nie przejmował. Nasi rodzice nie analizowali tego, co leciało w telewizji. Bajka była bajką. Dziś zwraca się olbrzymią uwagę na to, jak bardzo można niechcący skrzywdzić dziecko, serwując mu niesprawdzoną przez nas książkę lub animację.

ML: Okej, czym się zatem różni horror od grozy?

MR: Zgodnie z definicją, horror dzieje się w świecie rzeczywistym. W grozie mamy elementy fantastyczne: wampiry, demony, zjawiska paranormalne itp. I na pewno są to gatunki popularne, niektóre pozycje są przeciwieństwem kultowe, takie jak *Lśnienie* czy wszystkie powieści Lovecrafta. Badania pokazują, że podczas kontrolowanego przeżywania strachu w kinie czy w domu wydzielają się różne hormony, takie jak kortyzol i adrenalina, ale i dopamina – szczęście w najczystszej postaci. Bezpieczny strach sprawia nam fizyczną przyjemność.

ML: Być może dlatego coraz więcej epatowania brutalizmem w innych, popularnych gatunkach literackich. Cały czas powtarzam, że w kryminały wdarła się tendencja do wprowadzania bardzo szczegółowych i okrutnych opisów tego, jak jeden z bohaterów znęca się nad ciałem i psychiką tego drugiego. To samo widzimy w romansach, sensacji, thrillerach... Jednym z pierwszych pytań, jakie słyszę od potencjalnych czytelników moich kryminałów jest to o poziom okrucieństwa – czy jest bardzo drastyczny, a krew leje się strumieniami, czy (i tu uwaga, bo przymiotniki z przeciwnego bieguna również dają do myślenia) to bardziej kobieca, miękka historia. Zwolenników tego pierwszego rodzaju wcale nie jest mało.

MR: Zakładając sklep Samowydawcy.pl, odkryłem dopiero, jak wiele nowoczesnych gatunków grozy i horroru istnieje. Dla przykładu nauczyłem się, czym jest gore – gatunek obfitujący w drastyczną przemoc i wątki mające wywołać obrzydzenie z kanibalizmu, a wszystko to z podtekstem seksualnym.

ML: Jest ich bardzo dużo! Np. weird fiction (inaczej horror lovecraftiański, kosmiczny i porażający, człowiek jest niczym w obliczu przerażającej otchłani wokół), splatterpunk (inaczej horror

ekstremalny, najbrutalniejszy gatunek, ale często operujący humorem, hiperbolą i zjawiskiem krzywego zwierciadła), psychologiczny (skupiony na stanach emocjonalnych bohaterów), demoniczny (opisujący zjawiska religijne), naukowy (wykraczanie poza porządek naturalny, zabawy w boga, wątki prometejskie, eksperymenty naukowe), nadprzyrodzony (duchy i potwory), slasher (z wątkiem psychopatycznego mordercy z nożem lub siekierą), snuff movies (w przypadku kinematografii, stylizowane na autentyczne morderstwa, gwałty, tortury, samobójstwa), animal attack (krwiożercze rekiny czy wilkołaki), torturę porn (sadyzm wobec osób przypadkowych, niewinnych), horror science fiction (np. Obcy), asian horror (najczęściej związane z dawnymi legendami, niewinni,

którym stała się krzywda i wracają z zaświatów, by się zemścić) oraz takie gatunki, jak: horror komediowy, cannibal horror, horror zombie. Myślę, że większość z nich zyskała na popularności lub w ogóle powstała na fundamencie kina. Z czego wynika tak wielka obfitość podgatunków?

MR: Horror musi się rozwijać. To co było straszne kiedyś, nie jest strasznym dzisiaj. Uważam, że pokoleniowo jako czytelnicy poszukujemy innych, mocniejszych wrażeń.

ML: Jest też coraz więcej autorów grozy. Ich mroczne i upiorne fantazje nie są odrzucane przez czytelników, bo doszło do jakiejś przesady. Granica tego, co nie do zaakceptowania dynamicznie się przesuwa, a tolerancja na



okrucieństwo jest coraz bardziej elastyczna. Czy istnieje w tym pewne wychowawcze niebezpieczeństwo? Czy tworzy to w nas zwyrodnienia?

MR: Przypomniały mi się badania, które mówią, że najbardziej bojaźliwymi osobami są te, które lubią czytać i oglądać horrory.

ML: Podobnie jest z kryminałami. Czytelniczki i słuchaczki true i fiction crime częściej oglądają się za siebie, idąc ciemną ulicą do domu.

MR: Z jeszcze innej strony zauważono, że doświadczanie strasznych

opowieści działa na nas terapeutycznie. Oswajamy się z naszymi lękami.

ML: Innymi słowy horror i groza mają się dobrze i nie warto przeszkadzać ich rozwojowi. W obecnym numerze widzimy, jak wielu autorów zechciało zmierzyć się z tym tematem.

MR: A to tylko część nadesłanych tekstów, pozostałe trafiły do Patronite'a. Z każdym rokiem przybywa zarówno pisarzy jak i odbiorców tych najstraszniejszych gatunków literackich. Dlatego jeśli zapytalibyśmy wielbicieli horrorów, dlaczego mają takie wielkie oczy, odpowiedzieliby, żeby je lepiej widzieć.



Mateusz R.M. Rogalski, prawie podróżnik, prawie pisarz, autor powieści fantasy z cyklu *Obrońcy Ahury* i bajki *Zamki i roboty*.



Monika Litwinow – kynoterapeutka, bajkoterapeutka, instruktorka jogi dla dzieci, autorka powieści kryminalnych *Za lasami*, *W gaju* oraz bajki *Gnomek Leonek idzie do przedszkola*

Possskromienie fobii, czyli wesoła historia walki ze strachem w czterech aktach prozą

Mariusz Łapiński

„I Bóg stworzył człowieka...”, lecz później pojawił się wąż, a dalej człowiek musiał już radzić sobie sam i pewnie długo nie przetrwałby w świecie pełnym niebezpieczeństw, gdyby nie pewna racjonalna doza strachu, który w długim procesie rozwoju ludzkości bodźcował podświadomość jednostek sygnałami typu: „nie idź”, „nie dotykaj” i „nie próbuj”. Natura człowieka jest jednak nastawiona na odkrywanie, poznawanie i zdobywanie – procesy dla odważnych, do których według przysłowia należy świat. Tak więc jeśli strach kontrolowany może okazać się w pewnych sytuacjach zbawienny. Problem rozpoczyna się, kiedy gnębi nas paraliżująca fobia, odbierająca cały wachlarz możliwości.

Nieprzypadkowo na początku nawiązałem do biblijnego węża kusiciela. Podobnie jak co trzecią osobę dorosłą (w tym również najsłynniejszego, fikcyjnego archeologa świata), przez lata dotyczył mnie problem ofidiofobii, czyli strachu przed wężami. Dotyczył – czas przeszły – ponieważ problem został skutecznie zażegnany. Jak? O tym poniżej.

Oczywiście proszę nie traktować tego tekstu jako recepty ani fachowej porady (po takie rzeczy należy udać się do specjalisty), a raczej jako tekst „ku pokrzepieniu serc”.

Akt 1 – Praprzyczyna

Wszystkie lęki mają swoje źródło i najpewniej, poza nielicznymi przypadkami, ich początku należy szukać w dzieciństwie. Bajka o złym wilku opowiadana na dobranoc, historie o duchach i wampirach snute przy ognisku czy kolega w stroju pająka wyskakujący zza węgła z głośnym okrzykiem „BUU!!!” mogą trwale zarysować się w psychice i sprawić kłopot na długie lata.

Czy ważne jest, aby zidentyfikować przyczynę naszej fobii? Pewnie nie zaszkodzi, i tak się składa, że znam dokładny moment powstania mojego lęku. Gdy miałem zaledwie kilka lat, przeglądałem ciekawie napisaną (o czym jeszcze wtedy nie wiedziałem) i przepięknie ilustrowaną książeczkę *Nad wodą* Hanny Zdzitowieckiej. Być może ta popularna niegdyś

książeczka dla dzieci znajduje się również na waszych półkach. Wśród ilustracji ryb, żab, owadów i ptaków, na rozkładówce stron 122-123 postanowiono umieścić drastyczny obraz zaskrońca połykającego żabę lub – w tym kontekście lepiej będzie powiedzieć – żaby połykanej przez zaskrońca (on w zasadzie pewnie jest zadowolony z obfitego posiłku)!

Szok, jakiego doznałem, patrząc na wystające z paszczy gada tylne odnóża żaby, sprawił, że od tego momentu na widok pełzających stworzeń pokrytych łuską reagowałem co najmniej przyspieszonym biciem serca.

Akt 2 – Apogeum

Żyję w górskim miasteczku przeciętym przez rzekę Wisłę i jestem otoczony przez naturę. Podobno mnóstwo u nas zmij zygzakowatych, choć nigdy żadnej nie widziałem, za to nad wodą nietrudno natknąć się na piękne (i nieszkodliwe) zaskrońce. Nawet one sprawiały we mnie lekki paraliż, więc dla własnego spokoju trzymałem się na dystans, co pozwoliło mi jako tako egzystować i nie zdawać sobie sprawy z rozmiaru mojego problemu. Tak było aż do pewnego wydarzenia podczas studiów.

Czegokolwiek by nie powiedzieć o mieszkańcach jakiegokolwiek akademika, warto wiedzieć o tym, że nie cofną się przed niczym, aby zażartować albo w jakiś sposób dopiec swojemu koledze,

a jeśli tylko wyczują słabość, to uczepią się jej i będą eksploatować do granic. Podobna zasada panuje w wojsku, niektórych środowiskach pracy i wszelkich zgromadzeniach, gdzie nie zaprzestano zjawiska fali, kocenia lub – jak to się obecnie modnie nazywa – mobbingu. Zasady brutalne, ale prawdziwe, dla urodzonych już w XXI wieku mogą brzmieć nieprawdopodobnie.

Stało się więc tak, że pewnego razu, stojąc na korytarzu akademika, zostałem zaskoczony przez jednego z kolegów trzymającego węża tuż przy mojej twarzy. Wąż był doskonale imitującą ruchy prawdziwego stworzenia drewnianą zabawką, ale o tym, rzucając się do panicznej ucieczki, w ogóle nie pomyślałem, podobnie jak o tym, że pozostali zebrani na korytarzu żacy poczują krew i rzucają się za mną w pościg, oczywiście cały czas strasząc niby-wężem. Tak prześladowany zatrzasnąłem za sobą drzwi pierwszego pokoju, do którego udało mi się trafić i zacząłem barykadować je własnym ciałem od środka. Z późniejszej relacji uczestników zdarzenia wynika, że z drugiej strony na drzwi napierało sześciu dorosłych facetów, ale po mojej stronie była królowa hormonów – adrenalina, więc równie dobrze mogli próbować brać mnie głodem...

... i znalazł się po drugiej stronie podstępny Odyseusz, który zauważywszy sporą szparę pod drzwiami zasugerował głośno, żeby właśnie tamtędy wpuścić

zwierzę... i to wystarczyło, aby odwrócić moją uwagę, i drzwi rozwarły się na oścież, i wpadli napastnicy do środka, i stanęli jak wryci, bo tam, gdzie sekundę wcześniej czuli spory opór, nie było już nikogo, bo nadal napompowany adrenaliną jednym susem znalazłem się na piętrowym łóżku, gotów stamtąd bronić się przed dalszą inwazją.

Na szczęście ktoś zauważył, że oczy mam wielkie jak spodki, twarz bladą i wcale nie udziela mi się doskonała atmosfera zabawy, a wręcz przeciwnie – jest wielce prawdopodobne, że wkrótce może wydarzyć się coś naprawdę nieprzyjemnego.

Odpuścili, informując, że wąż to nie wąż i – jak mówi klasyk – śmiechom nie było końca.

Akt 3 – Terapia szokowa

Udając się do Marrakeszu wiedziałem, że na głównym targowym placu miasta Jamal-el Fna działają zaklinacze węży. Pędzony ciekawością, której nie jest w stanie przeciwstawić się nawet fobia, postanowiłem sprawdzić zjawisko. Spodziewałem się ujrzeć obrazki rodem z Indii, czyli otumanione muzyką kobry wyłaniające się z koszyków. Zamiast tego zastałem senne, opite mlekiem mawkym gady, zupełnie pozbawione zwykłej wężom energii. Leżały bez ruchu lub powoli sunęły po płytach placu, bardziej

przypominając przerośnięte gąsienice niż gady, co nadawało im wyjątkowo obrzydliwego wyglądu.

Obrzydliwy wygląd, ale też obrzydliwa praktyka nawet z perspektywy kogoś, kto bardzo nie lubi węży, bo węże te poza tym, że odurzane różnymi substancjami, są również pozbawione zębów jadowych, żeby nie mogły nikogo nawet przypadkowo ugryźć.

Przechadzając się po placu, z daleka obserwowałem zjawisko, starając się nie wejść w kontakt z właścicielami stworzeń oferujących zdjęcia za opłatą. Niestety i tym razem ponownie zostałem zaskoczony. Robiłem akurat zdjęcie minaretu, kiedy jeden z zaklinaczy podszedł do mnie od tyłu i bez ostrzeżenia zarzucił mi węża na szyję i wesołym głosem zaproponował zdjęcie. Zesztywniałem, czując dotyk łusek na karku, a w głowie delikatnie mi się zakręciło. Nie za bardzo wiedziałem, jak miałbym uciekać. Spróbowałem przekupstwa, ale właściciel węża nie chciał za nic przyjąć pieniędzy, więc do całej sytuacji doszły dość absurdalne w tym momencie pertraktacje o cenę zdjęcia, z tym że wyjątkowo role się odwróciły. Ja oferowałem góry złota, a zaklinacz zbijał cenę.

Kiedy w końcu doszliśmy do porozumienia, zdjęcie zostało wykonane, a ja czekałem na moment uwolnienia od ciężącego mi brzemienia, został mi postawiony ostatni warunek. Wąż zostanie

zabrany, ale tylko wtedy, jeśli pocałuję go w głowę, która już przezornie została mi podstawiona na wysokość wzroku. Nie chcąc przedłużać swoich cierpień, z małymi tylko oporami wykonałem rytuał. Uwolniony od ciężaru gada, trzęsącymi się rękoma odliczyłem uzgodnioną wcześniej kwotę i zapłaciłem.

Akt 4 – Pokłosie

Od incydentu w Maroku minął jakiś czas. Pozytywne skutki niechcianej i przypadkowej terapii szokowej zacząłem odczuwać przy wielu okazjach. Najpierw spostrzegłem, że nie mam problemu z przebywaniem w pomieszczeniu, gdzie w terrarium znajduje się wąż. Jednym się nawet opiekowałem. Później w Australii okazało się, że jestem w stanie przebywać w pomieszczeniu, gdzie wąż buszuje poza terrarium i mimo że występuje u mnie naturalny opór przed dobrowolnym wchodzeniem do takich miejsc, to nie jest to niemożliwe.

O krok dalej w walce z własnymi słabościami poszedłem, kiedy na farmie węży w Tajlandii zdecydowałem się wejść na niewielką scenę, na której znajdowały się dwie kobry. W dodatku po zakończeniu tego pokazu z własnej woli dotykałem jednej z nich! Sytuacja była w pełni kontrolowana przez poskramiacza, ale kto nie był na arenie z kobraми, niech pierwszy rzuci kamień.

Kilku późniejszych spotkań z węzami w ich naturalnym środowisku nie zaliczam do najprzyjemniejszych doświadczeń, ale czy to na łądzie, czy w wodzie byłem w stanie trzymać nerwy na wodzy, nawet kiedy dystans między nami niebezpiecznie się zmniejszał.

Nie jest tak, że całkowicie przestałem bać się węży. Nie łapię ich i nie staram się wejść w bliższy kontakt. Raczej zachowuję dystans i szanuję je jako groźnego przeciwnika, jednak zachowując zdrowy rozsądek, nie wpadam w nieokiełznaną panikę na sam ich widok. Myślę, że jak na kogoś, kto kilka lat wcześniej przestraszył się drewnianej zabawki, to już całkiem nieźle.



Mariusz Łapiński – podróżnik z pasją do dzielenia się anegdotami ze świata. Autor vloga *Dobrze Pojechane* oraz rozrywkowych książek przygodowo-podróżniczych *Jak nie dać się zjeść Australii* oraz *Zwrotnik Dzioborożca*. Podczas tworzenia kieruje się zasadą: ma być ciekawie lub zabawnie.

Izabela Redesiuk

Pamiętam dobrze pewien dzień ze swojego dzieciństwa. Wydarzenie, które zwykle pamiętają dzieciaki – pierwsze nocowanie u przyjaciela. Edward był gruby i wolał spać od ściany, pozostawiając mnie, chudego i za długiego na swój wiek, w wąskiej przestrzeni między nim i tą przekłętą szafą. Nie żebym bał się szaf, ale ta jego zawsze działała na mnie jakoś... inaczej. Stara i pokraczna, odziedziczona po kuzynostwie z drugiego końca hrabstwa, skrzywiła się w podróży, przez co nie domykały jej się drzwi.

Edwardowi to nie przeszkadzało. Nie dbał o porządek ani higienę i gardził strachem tak samo jak warzywami na parze i tym zezowatym chłopakiem z IV B. Ja przy każdej wizycie siadałem jak najdalej od przeżartego przez korniki mebla, nigdy, przenigdy nie odwracając się do niego tyłem. Ed mówił, że czytam za dużo komiksów i poprzewracało mi się w głowie od wążania tuszu, ale wiedziałem swoje.

Szafa była zła.

Tamtego dnia ojciec przywiózł mnie do przyjaciela punkt piąta. Nigdy się nie spóźniał. Poklepał mnie po plecach i wcisnął w ręce plecak z ubraniami na zmianę i szczoteczką do zębów. Rodzice Eda zorganizowali nam krótką wycieczkę po okolicznych górkach, więc o dziewiątej byliśmy już bez sił. Leżałem w dogasającym świetle dnia, bojąc się zasnąć. Nie mogłem odwrócić się od szafy, zmuszony więc byłem patrzeć na oddaloną ledwie na wyciągnięcie ramienia ciemność ziejącą między pomalowanymi na brązowo deskami.

Chłopięca wyobraźnia podpowiadała mi, że roi się tam od napęczniałych, obślizgłych robaków. Czasem któryś spadał na ziemię z obrzydliwym „chlap”, a jego ciało pękało i obryzgiwało śluzowatymi wnętrzościami suche drewno i rzucone niedbale spodnie Eda. Chwilę później widziałem żółte i czerwone ślepie, jarzące się w mro-

ku, słyszałem ocierające się o siebie szczypcy, jak ostre noże, z których ktoś dla zabawy próbuje skrzesać iskry.

Ciemność wyszła z szafy, wypłynęła jak delikatna mgła, by objąć mnie swoim kokonem. Zamknęła mi oczy długimi palcami i zasłoniła otwarte do krzyku usta. Chyba zasnęłam.

Za oknem zachodziło słońce, malując dziwną mgłą ostatnimi promieniami. Z sąsiedniego domu dochodziły odgłosy kłótni, z drugiej strony ktoś coś śpiewał. Chciałem podnieść się na łóżku, zobaczyć coś więcej, ale moje dłonie zamiast materaca dotknęły czegoś zimnego, krągłego i twardego. Z przerażeniem odkryłem, że nie leżałem już na łóżku, lecz na stercie nadgniłych ciał i nagich kości. Chciałem szarpnąć Eda za ramię, lecz zamiast niego złapałem chudy obojczyk obciążony skórą. Drobnie ciało zaczęło obracać się w moją stronę, a z jego strony dobiegł cienki głos.

– Przepraszam, ale nie mam już twarzy, którą mógłbyś pocałować.

W zapadającej ciemności, wbrew sobie i rozsądkowi pomacałem twarz trupa. Palce zanurzyły się w czymś o konsystencji zgniętego jabłka, a gdy z odrazą zabrałem dłoń, skóra odeszła miękko od czaszki. Z jakiegoś powodu wiedziałem, że to Eve, na wieki lat dziewięć, i ta świadomość zerwała mnie ze stosu ciał. Nie chciałem poznawać innych imion ani metryk.

– Dzisiaj noc horrorów, nie wiedziałeś? – powiedziały jeszcze na wpół pozbawione warg usta.

Rzuciłem się w stronę okna, wybijając ciałem zdobioną markarami szybę. Szkło cięło skórę lodowatymi pazurami, a potem czekał mnie krótki lot ku zatopionemu we mgle trawnikowi.

Zamiast murawy poczułem pod sobą materac. Obudziłem się i usiadłem z krzykiem naprzeciw szeroko otwartych drzwi szafy. Z wnętrza buchał okropny, słodki zapach zgnilizny. Podciągnąłem kolana pod brodę, aż wpadłem plecami na Eda.

– Ed, wstawaj, coś się dzieje! – wykrzyknąłem piskliwie.

Ed nie poruszył się ani wtedy, ani nigdy więcej. Rozdarte pod drugim podbródkiem gardło było ciemnoczerwoną miazgą wylewającą na poduszki litry krwi. Wskoczyłem z tego przeklętego pokoju, wpadając na rozciągnięte na schodach ciało matki przyjaciela. Kobieta wyglądała, jakby coś ogromnego poskładało ją jak kartkę papieru, a potem rozłożyło na stopniach jak krwawą wersję nieudanego origami. Minąłem ją, ślizgając się na spływającej powoli kałuży. Kątem oka zauważyłem mężczyznę zawieszonoego na żyrandolu w salonie. W samej bieliźnie, z odciętymi dłońmi i stopami, kołysał się jeszcze niby uparty liść na wietrze, mimo listopada niechętny jeszcze oderwać się od gałęzi drzewa.

Wypadłem z domu w piżamie, wprost w ramiona policjanta.

– Już w porządku, synu. Już prawie świta.

Przydzielono mi psychologów, cały zastęp opiekunów dla rodziny i nauczyciela, który przez rok prowadził edukację domową. Nikt otwarcie nie porozmawiał ze mną o tym, co właściwie zaszło.

Miałem rację co do szafy. Była zła. Wykonana z desek wydartych z trumien starego cmentarza na drugim końcu hrabstwa, trafiła do Eda jako spadek po zmarłym nagle kuzynostwie. Stała się pewnego rodzaju Bramą między światami.

Minęło wiele lat, nim sam doszedłem do rozwiązania sprawy. W pudełku przede mną piętrzą się pożółkłe artykuły z gazet, w ręce trzymam nekrolog Eve, lat dziewięć i Eda, również lat dziewięć. Oboje poznałem. Nekrologów było więcej. Wybrałem tylko te mówiące o dzieciach, ułożyłem je chronologicznie, połączyłem fakty.

Noc horrorów miała miejsce co osiem lat. Zawsze gdzieś wtedy ginęła rodzina, nigdy nie znajdowano sprawcy, a ponura legenda i nadprzyrodzone okoliczności odstraszały potencjalnych detektywów. Z jakiegoś powodu przeżyłem tamtą noc, tak jak przeżyłem osiem i szesnaście lat później, przeżywając przerażające, realistyczne koszmary w czasie, gdy ginęły kolejne ofiary.

Stara blizna na kolanie mgliście przypominała mi chłopięce wyzwania. Dopiero teraz odnalazłem jej kształt, pierwowzór wypalony w drewnie dekady temu, w górnym rogu zewnętrznej ściany szafy Eda. To on mi ją wyciął, na znak mojego męstwa i jako przepustkę do jego tajnego klubu.

Połączyłem się wtedy z Bramą, stałem się jej częścią, naznaczoną krwawym, starym symbolem. Brama czegoś ode mnie chciała. Może prosiła, by ją zniszczyć, przepełniona rozkładającymi się zwłokami. A może chciała otworzyć się szerzej?

Stoi teraz przede mną. Tylko ja i Ona, ta Zła. Za oknem zmierzcha, lecz zdążyłem odnaleźć ją przed dzisiejszą nocą horrorów. Koślawe drzwi uchylają się powoli, z jękiem, jak powieki pokręconych oczu.

Patrzemy na siebie, Ciemność i ja. Przeciagam zapalką po drasce i idę w Jej stronę, okadzony zapachem siarki, słysząc pierwsze pozdrowienia chóru dziecięcych głosów.



Izabela Redesiuk – optymistycznie nastawiona do świata kobieta z zamiłowaniem do tworzenia nowych światów i historii. Autorka powieści *Przepowiednia*.

Możesz w nią nie wierzyć,
ale nie uda Ci się przed nią uciec!

PRZEPOWIEDNIA

Kontynuacja powieści okrzykniętej książką ADHD



Przygoda czeka



Stary Dziad – recenzja powieści grozy Maksa Dietera *Strażnik Piekła*

Sylwia Langer

Upragniona jesień sprawia, że można bez wyrzutów pod kocem, w towarzystwie parującego naparu raczyć się dobrą Literaturą (przez wielkie „L!”). W takich okolicznościach nawet groza niestraszna. A skoro o niej mowa, to warto przyjrzeć się nietuzinkowej pozycji, jaką jest *Strażnik Piekła* spod pióra Maksa Dietera.

Autor bez pardonowo zabiera czytelników w niezwykle sentymentalną podróż na śląską wieś lat dziewięćdziesiątych, gdzie letni czas upływał bohaterom niespiesznie na kąpielach w jeziorze, zbiórkach w tajnej bazie, eksploracji okolicznych lasów, wycieczkach rowerowych i degustacji używek, takich jak papierosy czy tanie wino. Ale ileż można robić to samo? Dwunastoletniemu Maćkowi i jego przyjaciółom: Porkiemu, Tyce i Ślepemu z czasem zaczęła doskwierać nuda. Chłopcy potrzebowali adrenaliny, swoistego dreszczyku emocji, w końcu byli mężczyznami, a nie jakimś wymoczkami. Pewnego dnia Porki rzucił im wyzwanie: wybiorą się wspólnie do lasu i zabrają przedmiot z chaty odkrytego złą sławą odludka, którego

okoliczni mieszkańcy nazywają „Starym Dziadem”. Postać samotnika tak bardzo zaintrygowała Maćka, że chłopiec zaczyna na własną rękę szukać informacji na jego temat. Nastolatek szybko odkrywa prawdziwą tożsamość mężczyzny. Kim naprawdę jest Stary Dziad? Czy legendy krążące na jego temat okażą się prawdziwe? A może zło czai się gdzie indziej i nie zawaha się zaatakować znieścaka?



SAMOWYDAWCY.pl

Akcja rozwija się niespiesznie, dzięki czemu można nie tylko dokonać wnikliwego studium postaci, ale także wracać z każdą kolejną stroną w nieznaną zakątki lasu Kałużnik, gdzie wszechobecne mgły moczarów, pachnące złowrogą wilgocią i zgnilizną, stopniowo budują przekonujący nastrój niepewności i zagrożenia, który nie opuści nas do dramatycznego i mroźnego krew w żyłach finału.

Zdecydowanie najbardziej intrygującym wątkiem jest mroczna i niechlubna tajemnica Starego Dziada sięgająca czasów II Wojny Światowej. Autor umiejętnie dozuje poszlaki prowadzące do jej odkrycia, przeplatając je z niesamowicie precyzyjnymi opisami nastoletnich przemyśleń i problemów, takich jak „męska” przyjaźń, pierwsza miłość, (nie zawsze łatwe) relacje z rodzicami, uzależnienia, radzenie sobie z przedwczesną śmiercią rodzica.

Autor świetnie oddał na kartach powieści klimat lat dziewięćdziesiątych, w których zarówno mnie, jak i jemu przyszło dorastać na Śląsku. Pewnie z tego względu niejednokrotnie miałam wrażenie, że osobiście uczestniczę w wydarzeniach opisanych w książce.

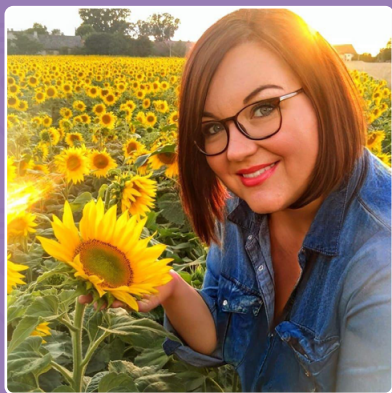
Maks Dieter nie ukrywa, że pisząc powieść, wzorował się na mistrzach tego gatunku. Wprawny czytelnik zauważy w *Strażniku piekła* wpływy Stephena Kinga, Petera Strauba czy Dana Simmonsa. Jednak nie są to kalki tylko

pierwiastki, skutecznie stopniujące napięcie i budujące spójne postaci.

Prosta, nieskomplikowana narracja pozwala nam polecić tę książkę nawet szesnastolatkom, których fascynują groza i zjawiska nadprzyrodzone.

Jeżeli macie ochotę na książkę prześiąkniętą emocjami, strachem, napięciem, z niepokornym, ale błyskotliwym bohaterem, którego losy poznacie bez konieczności czekania na kontynuację, to śmiało sięgajcie po najnowszą powieść Maksa Dietera. Zdecydowanie warto!

Maks Dieter, *Strażnik piekła*, 2022, 434 stron



Sylwia Langer – Prawniczka, germanistka i bibliotekarka specjalizująca się w bajkoterapii, prywatnie żona, mama i recenzentka, która zaraża miłością do literatury i paragrafów, wierząc, że dzieci bardziej potrzebują dobrego przykładu niż krytyki. Kiedy nie uczy, to recenzuje, tłumaczy lub skrobie coś na własny użytek. Prowadzi bloga „ZdowoBooknięte”.

Szesnaste Piętro

Aleksandra Gawlińska

– Dobra, młody, dziś idziesz sam.

– Sam? – dopytał Antek, chowając resztę sprzętu do plecaka.

– Nie straszcie chłopaka – powiedział pan Mirek, wychodząc ze swojej kanciapy i wycierając dłonie w szmatę tak brudną, że nie można już było zidentyfikować jej pierwotnego koloru.

– Dobra, dobra – zaśmiał się Kuba podchodząc do Antka – widzisz ten budynek? – Wskazał na wysoki wieżowiec po drugiej stronie ulicy. Antek zbliżył się do okna i potwierdził skinieniem głowy.

– To twoja dzisiejsza robota – wyjaśnił Kuba, a reszta ekipy wróciła do swoich zadań. – Będziesz blisko, więc jakby coś się działo, to zadzwoń i któryś z nas podskoczy, ale raczej nie będzie takiej potrzeby, dasz sobie radę – zapewnił go, łapiąc za karteczkę i długopis. – Dziś trzeba zrobić – zastanowił się chwilę – dziś jest dwunasty, hm, od pierwszego do czwartego piętra, a potem piętnaste i szesnaste – zakończył zapisując.

– Okej, to będzie – zaczął Antek – sześć ekspresów tak? Czy jest ich więcej na piętrze?

– Po jednym w każdej kuchni, więc tak. Szybko zrobisz i wracasz tutaj – potwierdził Kuba. – W recepcji możesz się dopytać, gdybyś miał problem je znaleźć, ale na każdym piętrze są pośrodku korytarza i obok łazienki.

– W porządku – powiedział Antek, wziął karteczkę i zarzucił plecak. – No to do zobaczenia później.

Kiedy tylko drzwi za Antkiem się zamknęły, Bartek spojrzał na Kubę i się zaśmiał.

– Szesnaste piętro? Znowu ten stary kawał? – Głośno puścił parę z maszyny stojącej przed nim.

– Może nie ucieknie z krzykiem jak ty, Karolcia to się z ciebie cały tydzień śmiała – rzucił Kuba, patrząc przez okno na przechodzącego po pasach nowego pracownika serwisu.

– Dobra dobra, on tam chociaż wszedł, ty się zastłonięś tym, że karta niby nie działała – przypomniał mu pan Mirek, wracając do siebie na zaplecze.

– To był horror. Zapomniane, opuszczone miejsce – wspominał Bartek, zakręcając zawór – ale jakby Tobie tak korki strzeliły i światła pogasły, to też byś uciekał. Swoją drogą, zadzwoń do niej, może jest dziś na zmianie.

– Dobry pomysł. Warto jej przypomnieć, żeby naszego serwisanta nie wyprowadzała z błędu – powiedział Kuba, sięgając po telefon.

Antek sprężystym krokiem pokonał dwupasmową ulicę, dzielącą jego nowy zakład pracy z biurowcem. Od dwóch miesięcy, szkolił się zarówno na miejscu, jak i u klientów, ale do nich jeszcze nigdy nie szedł zupełnie sam, chociaż wiedział, że ten moment kiedyś nadejdzie. Chciał pokazać chłopakom, że jest już gotów na pracę w terenie, dlatego był zdeterminowany, aby dobrze wykonać zlecenie. Z głową wysoko podniesioną i stresem skręcającym wnętrzości, przeszedł przez szklane drzwi budynku i wszedł do sporego holu z marmurową recepcją pośrodku. Przy blacie siedziały dwie młode i bardzo ładne dziewczyny w białych, perfekcyjnie wyprasowanych bluzkach, a niedaleko leniwie kręcił się w fotelu ubrany na czarno, starszy ochroniarz.

– Dzień dobry, jestem z serwisu ekspresów, Antoni Duch – przedstawił się jednej z nich, gdy w tym czasie druga rozmawiała przez telefon.

– Które piętra? – Blondynka zapytała wyciągając jedną z kart dla obsługi.

– Chwila – Antek wyciągnął karteczkę z kieszeni – od pierwszego do czwartego, a potem piętnaste i szesnaste.

– Które? – dopytała stukając w klawiaturę i wpisując coś w system.

– Czekaj, Iza, ja już mu nadaję – stwierdziła nagle druga z dziewczyn, odkładając słuchawkę telefonu. Przeskanowała jedną z kart przez małe urządzenie, leżące obok klawiatury i podała chłopakowi małą, białą kartę.

– Dzięki – powiedział Antek i zapytał – w którą stronę do windy?

– Na prawo – pokierowała go dziewczyna o ciemnych włosach, po czym szeptem zaczęła coś wyjaśniać swojej koleżance.

Chłopak ruszył w stronę wskazanego korytarza, ściskając kartę w dłoni. Pierwszy etap za mną, teraz sześć ekspresów, koniec roboty i do domu, pomyślał, naciskając guzik. Drzwi windy niemalże natychmiast się otworzyły. W środku nacisnął przycisk z numerem cztery, opracowując w myślach strategię, że zacznie od tego piętra i będzie schodził w dół aż zrobi pierwsze cztery, a na koniec wjedzie na piętnaste i szesnaste. Po chwili wyszedł na pusty korytarz z wieloma zamkniętymi drzwiami i ruszył w stronę domniemanego środka.

Początkowo mijał drzwi z numerami zaczynającymi się od czwórki, aż w końcu pojawiły się drzwi z tabliczką WC i następnie te, których poszukiwał, oznaczone jako „pomieszczenie kuchenne”. Przyłożył kartę do czytnika znajdującego się na ścianie po prawo i po zmianie światelka na zielone, nacisnął klamkę. Pewnym krokiem wszedł do środka.

W przeciwieństwie do ciszy na korytarzu, w kuchni panował typowy dla tego miejsca gwar. Pomieszczenie nie było zbyt duże, ale przy dwóch stolikach siedziało lub stało wielu ludzi rozmawiając, przekrzykując się i wymieniając plotki. Jedli lub popijali kawę i niemalże chóralnie odpowiedzieli na „dzień dobry” wchodzącego Antka. Na długim blacie pod jedną ze ścian, obok dwóch czajników elektrycznych i mikrofalówki stał jeden z nowszych ekspresów, cały zachlapanym mlekiem.

– Aaa, pan do ekspresu! – zawołała jedna z kobiet, podnosząc się zwinnie z krzesła. – To ja jeszcze zrobię kawę, proszę poczekać! –

Podbiegła podsuwając swój kubek z resztką niedopitej kawy pod wylewkę.

– O, właśnie, to ja też jeszcze zrobię – powiedziała nagle kolejna ustawiając się w kolejce.

Antek odsunął się od ekspresu, robiąc miejsce coraz większej grupie ludzi, spragnionych kawy, by po chwili już odpowiadać na lawinę pytań:

– Czy długo to będzie trwać?

– No około godzinki...

– A często trzeba tak czyścić?

– No chociaż raz w miesiącu...

– A wie pan, bo ja mam taki ekspres w domu...

Antek starał się jak mógł, sprawiać wrażenie doświadczonego eksperta, odpowiadając na wszystkie zaczepki, ale po piętnastu minutach, nadal bez dostępu do ekspresu, odczuwał już mocne poirytowanie. Kiedy w końcu w kuchni zrobiło się luźniej i pozostało już, mocno zajętych sobą, kilka osób, podszedł do maszyny i uruchomił program odkamieniania. Opadł na jedno z wolnych krzeseł jak po ciężkim wysiłku fizycznym i wyciągnął telefon. Po woli zaczynał rozumieć, dlaczego Kuba wołał pracować w zakładzie i nie ruszać w teren. Dlaczego najstarszy z pracowników, pan Mirek, zamyka się w swoim pokoiku i nigdy nie wychodzi do klientów. Ludzie czasami potrafią być okropnie męczący, a on dopiero zaczął swój dzień i czekało go jeszcze kilka pięter. Odzyskując spokój ducha, zaczął przeglądać głupoty w internecie w oczekiwaniu na koniec programu.

– Dałaś mu dostęp na szesnaste piętro? – zapytała przerażona Iza szeptem, aby ochroniarz siedzący niedaleko nie usłyszał.

– Tak, ale to taki żarcik, chłopak pokręci się chwilę i ucieknie – odparła cicho Karolina wzruszając ramionami.

– A jak znowu się coś wydarzy? Ja nie chcę za to odpowiadać – rzuciła koleżanka nerwowo pociągając za kosmyki blond włosów.

– Oj tam, co się może wydarzyć, już dawno tam był spokój, zresztą mam wrażenie, że większość tych opowiadanych historii to kompletna bzdura.

– No nie wiem, kiedyś rozmawiałam o tym na papierosie z jednym z byłych pracowników, opowiadał, że przedmioty zmieniały swoje miejsca, światło nagle gasło, a prezes był tak przestraszony, że nakazał ludziom wszystko zostawić. Nie mogli nawet zabrać ze sobą głupiego długopisu, kiedy odchodzili z pracy.

– Ludzie często coś przenoszą i zapominają, gdzie to zostawili, a problemy z prądem to zwyczajna rzecz – upierała się Karolina – i nie martw się, ja wybiłam kartę, więc jak ktoś się o tym dowie, to powiem, że to pomyłka, a Ty możesz przyznać, że nic o tym nie wiesz i koniec tematu.

Kilka godzin później, wyczerpany psychicznie Antek zamknął za sobą drzwi od kuchni na pierwszym piętrze i ruszył w stronę windy. Do tej pory wszystko szło po jego myśli, nie miał żadnej awarii i każdy z ekspresów pozostał dokładnie umyty i odkamieniony. Pozostały mu jeszcze dwa piętra do fajrantu. Zadowolony z siebie nacisnął na guzik z numerem szesnaście. Winda szarpnęła do góry. Mijając szóste piętro kabina zadrżała lekko, a światło przygasło, jakby żarówka miała za chwilę się wypalić. Zatrzymał się na ósmym piętrze i do środka weszła starsza kobieta. Światło ponownie rozbłysło a niepokój Antka zniknął.

– Dzień dobry – powiedziała znużonym głosem, na co Antek odpowiedział jej tym samym. Spojrzała na numery i bezmyślnie wcisnęła parter. Winda ruszyła dalej w górę, ale ku zdziwieniu chłopaka zatrzymała się na piętnastym piętrze. Kiedy nikt nie wchodził, Antek postanowił nacisnąć przycisk zamykający drzwi, ale starsza kobieta powiedziała nagle:

– Na szesnaste nie jeździ, musisz wysiąść tutaj. – Zaskoczony chłopak automatycznie wyszedł z windy, pozostawiając w niej kobietę, która spojrzała na niego dziwnie.

– No to najpierw załatwimy ekspres tutaj – powiedział sam do siebie i ruszył korytarzem. Na tym piętrze niestety nie miał wiele szczęścia. Gdy tylko otworzył drzwi do kuchni, zauważył trzech mężczyzn grzebiących przy ekspresie.

– Dzień dobry, jestem z serwisu ekspresów – powiedział, wchodząc, a ich twarze od razu rozpogodziły się na jego widok.

– O, bardzo dobrze, bo właśnie mamy problem. – Jeden z mężczyzn wskazał na wyjęty zaparacz.

– Kolega wyjął, żeby przepłukać i teraz nie chce wejść – dodał drugi z nich.

– Okej, zaraz zobaczę – odpowiedział Antek podchodząc do ekspresu. Przez chwilę przyglądał się pustemu miejscu po zaparaczu, a następnie grając na czas, wyjął z plecaka szczoteczkę i pędzelki i zaczął oczyszczać zębaki z kawy. Początkowo przypatrujący mu się mężczyźni szybko znudzili się i rozeszli do swoich biur, a kiedy został sam wyciągnął telefon i zadzwonił do Kuby.

– Hej, mam mały problem – zaczął, biorąc w drugą rękę zaparacz.

– No co tam się dzieje? – usłyszał znajomy głos po drugiej stronie.

– Ktoś się bawił zaparaczem i teraz nie mogę go z powrotem włożyć – wyjaśnił Antek próbując delikatnie wsunąć go na swoje miejsce. Po krótkiej instrukcji i naciśnięciu jednej z zapadek, zaparacz wszedł gdzie powinien, a ekspres ponownie ruszył. Antek mógł przystąpić do regularnego czyszczenia, a na odchodne Kuba zapytał:

– A jak tam Ci idzie? Dużo jeszcze zostało?

– Nie, jeszcze szesnaste piętro i koniec – odparł chłopak, naciskając właściwy program.

– Okej, to czekamy w zakładzie, dobrej zabawy – zakończył Kuba, rozłączając się.

– Dzień dobry wszystkim! – Eliza zawołała od progu, wchodząc do siedziby serwisu z torbami wypchanymi po brzegi.

– Hej, myślałem, że masz dziś wolne – odparł Kuba, sięgając do szafki po filiżanki.

– No gdzie! Od rana jeżdżę po mieście i odbieram paczki – odparła, po czym odłożyła torby z pakunkami na podłogę.

– A gdzie moja kawa? – zapytała pogodnie, gdy już usiadła przy swoim biurku i włączyła komputer.

– Zaraz będzie – odparł Kuba. Wybrał jeden z działających ekspresów i podstawił filiżankę.

– Dobrze, wszyscy dziś są? – zapytała, skupiona na wpisywaniu godzin do tabelki pracowniczej.

– Bartek się spóźnił – stwierdził Kuba, stawiając obok niej kawę.

– Pięć minut, a gdzie kwadrans studencki? – bronił się Bartek, który postanowił zrobić sobie przerwę i też podstawił swój kubek pod ekspres.

– A gdzie jest Antek? – zapytała Eliza dochodząc do rubryczki z krzywo napisanym słowem „nowy”.

– Wysłaliśmy go do molocha – Bartek zachichotał i upił łyk. Tak między sobą nazywali biurowiec ulokowany naprzeciwko.

– Samego? – zapytała zaskoczona, po czym odblokowała pewien szczegół w swojej pamięci i dodała: I co? Pewnie dostał zlecenie na szesnaste piętro?

– No a jak? Musimy wiedzieć, czy się nadaje do ekipy czy ucieknie z krzykiem – odpowiedział Kuba, wracając do pracy.

– No to lepiej, aby szef się nie dowiedział – zakończyła temat podnosząc swoją filiżankę do ust.

Jeszcze tylko jeden ekspres, szybko do zakładu i do domu – pomyślał Antek wchodząc po schodach na ostatnie piętro. Z klatki schodowej pierwsze drzwi naprzeciw windy były przeszklone i również zablokowane. Przyłożył kartę i nacisnął klamkę.

To piętro wyglądało zupełnie inaczej niż pozostałe. Nie było długiego korytarza, ani wielu drzwi po każdej stronie. Był to półokrągły, spory hol skąpany w delikatnym półmroku. Po prawej stronie były dwie pary drzwi, na lewo mała, pusta recepcja, a naprzeciwko kolejne szklane przejście. W środku było tak zimno, jakby klimatyzacja chłodziła na maksa od samego rana. Spojrzał na najbliższe tabliczki na których widniały napisy „prezes zarządu” i „zastępca prezesa zarządu”. Górne światło nie świeciło, ale zauważył, że komputer na recepcji był włączony i gdyby nie to, pomyślałby, że piętro jest opustoszałe. Ruszył przed siebie do następnych szklanych drzwi i przyłożył kartę. Lampka zaświeciła się na zielono, nacisnął na klamkę ale drzwi nie chciały ustąpić.

– Przepraszam, a pan do kogo? – usłyszał za sobą delikatny, dziewczęcy głosik. Odwrócił się gwałtownie zaskoczony i spojrzał na młodą sekretarkę ubraną podobnie do dziewczyn z parteru.



SERIA KRYMINALNA

*Baśniowe i słowiańskie wątki
porywają do głuszy
wielkopolskich lasów*

www.monikalitwinow.pl

– Dzień dobry, jestem z serwisu ekspresów do kawy – zaczął, ale dziewczyna dziwnie mu się przypatrywała. Po chwili nieprzyjemnej ciszy ruszyła w jego stronę, kołysząc biodrami i gdy była już bardzo blisko powiedziała:

– Te drzwi tak mają, trzeba je delikatnie unieść przy otwieraniu – poinstruowała go, a Antek szarpnął jeszcze raz za klamkę i starając się zrobić, jak mu powiedziała, udało mu się je otworzyć.

– Kuchnia jest na samym końcu, nareszcie ktoś do nas przyszedł, już dawno nikogo tutaj nie było – rzuciła, wracając na recepcję. Chłopak ruszył ciemnym korytarzem w stronę ostatnich drzwi. Mijając inne po drodze, zauważył jak niesamowicie cicho było wokół. W kuchni też wyjątkowo nikogo nie zastał. Wyciągnął z plecaka odkamieniacz i podszedł do urządzenia, ekspres stojący na końcu blatu był jednym ze starszych modeli.

– O nie, naprawdę ktoś z tego pije? – zapytał sam siebie, wyciągając spieniacz. Na małym plastikowym elemencie zepsute resztki mleka barwy pomarańczowej kleiły się obrzydliwie do jego palców. Odłożył go na obok i wyciągnął tackę, którą niemalże natychmiast upuścił. W środku wiły się małe białe robaczki. Szybko podniósł ją i wrzucił do zlewu odkręcając kurek. Woda przez chwilę nie chciała lecieć, a gdy już ruszyła, pierwszy strumień był paskudnie żółty.

– Co jest? – ponownie zapytał sam siebie, obawiając się otworzyć drzwiczki od ekspresu. Odetchnął głęboko i poszukał wzrokiem włącznika światła, gdyż okna dawały go wyjątkowo mało. Nacisnął na włącznik, ale żarówka pośrodku rozbłysła i natychmiast zgasła przepalona.

– Okej, no to będziemy działać inaczej – powiedział, wracając do plecaka. Wyciągnął ze środka małą latarkę, zapalił ją, by oświetlić bok ekspresu.

– Dobra, to teraz powoli, jakby miało coś z tego wyjść. – Delikatnie otworzył drzwiczki i zajrzał do środka. Blok był cały zawalony przyschniętą kawą, nawet mając niewiele doświadczenia już wie-

dział, że z tego ekspresu na pewno nikt nie pił kawy od co najmniej kilku miesięcy. Pociągnął za zaparzac i po kilku chwilach mocowania udało mu się go wyciągnąć. Ze środka wyskoczył spory czarny pajak i przebiegł mu po dłoni. Antek mimowolnie krzyknął, odstawił zaparzac i otrzepał rękę, ale stworzonko już mknęło po podłodze. Chłopak wyskoczył z kuchni jak oparzony i wbiegł do pomieszczenia obok. Odkręcił wodę przy pierwszej umywalce i zaczął myć ręce. Światło nad nim zaczęło migotać aż się zapaliło i oświetliło łazienkę, a zimny pot oblał mu plecy. Spojrzał wprost na swoje odbicie w lustrze. Powierzchnia była zabrudzona i zakurzona, a na niej widniał napis pozostawiony palcem: CZEKAŁAM NA KAWĘ TRZYNAŚCIE MIESIĘCY.

Antek usłyszał za sobą zgrzyt otwieranych drzwi, obejrzał się powoli i starając się nie pisnąć jak wystraszona dziewczynka, zobaczył ową sekretarkę zaglądającą do łazienki. Jej twarz wydała mu się nienaturalnie biała.

– To jest damska toaleta proszę pana – powiedziała niższym, niepokojącym tonem. Chłopak z bijącym sercem ponownie spojrzał na lustro, ale napis zniknął.

– Przepraszam, pomyliłem się – odpowiedział, zakręcił kran i wyszedł. Kiedy mijał dziewczynę poczuł powiew przenikliwego chłodu. Zawrócił do kuchni, w której jak gdyby nigdy nic paliło się światło.

– Będzie żył? – zadała pytanie, wchodząc tuż za nim.

– Żył? – zatrzymał się na środku zdeorientowany.

– No ekspres – wyjaśniła, oparłszy się o ścianę. – Każdy z nas potrzebuje kawy, żeby jakoś funkcjonować.

– A, no tak, trzeba go tylko dokładnie wyczyścić, to chwilę zajmie – odparł i podszedł do zlewu żeby oczyścić tackę z robaków. Gdy odłożył ją do wysuszenia i ruszył po zaparzac, dziewczyny już nie było. Tak brudnego i zapuszczonego ekspresu nie widział jeszcze nigdy w życiu. Doprowadzenie go do porządku zajęło mu trochę ponad godzinę, ale praca uspokajała kołatanie serca i blo-

kowała w nim chęć ucieczki. Kiedy zrobił kawę i upewnił się, że ekspres działa, zarzucił plecak i ruszył korytarzem w stronę holu.

Sekretarka siedziała przy komputerze i wpisywała coś głośno stukając w klawiaturę.

– Do widzenia – powiedział i odbił kartę na czytniku, dziewczyna uniosła głowę, uśmiechnęła się i odparła powoli z powrotem dziewczęcym głosem:

– Do następnego widzenia.

Antek wyszedł na klatkę schodową, a winda przed nim otworzyła się samoistnie. Chłopak spojrzał w głąb ciemnej, nie oświetlonej kabiny, ale coś mu podpowiadało, żeby wybrać schody. Nie korzystając więc z windy i zeskakując po dwa schodki, szybko dotarł na sam parter. Strach został zastąpiony samozadowoleniem, kiedy ruszył w stronę głównej recepcji, a ciepło ogarnęło z powrotem jego ciało.

– Wszystkie ekspresy odkamienione, proszę tylko podpisać ten raport – wyciągnął kartkę z plecaka i podał ciemnowłosej dziewczynie.

– Wszystkie ekspresy? – zapytała zaskoczona spoglądając na raport. – Na szesnastym też?

– Tak, było trochę roboty, ale wszystkie już działają – zapewnił Antek posyłając delikatny uśmiech.

– Okej – rzuciła sceptycznym tonem dziewczyna i złożyła swój podpis.

– Wróciłem – zawołał Antek i zaraz po wejściu do zakładu rzucił plecak na podłogę.

– No widzisz, wiedziałem, że sobie poradzisz – powiedział Kuba, odrywając się od ekspresu.

– Nie zapomniałeś o raporcie? – zapytała Eliza znad ekranu komputera.

– Nie, wszystko mam – zapewnił chłopak, wyciągnął dokument z plecaka i podał jej.

– Zrobiłeś szesnaste piętro? – zapytała zaskoczona, spoglądając na papier, a wszystkie spojrzenia skierowały się na Antka. Zanim jednak zdążył cokolwiek odpowiedzieć, drzwi do zakładu ponownie się otworzyły i wszedł starszy mężczyzna.

– Witam wszystkich – powiedział zachrypniętym głosem z papierosem w ustach. – Co tu tak poważnie? – zapytał, zamykając za sobą drzwi.

– Chłopaki wysłali młodego naprzeciwko, na szesnaste piętro – powiedziała powoli Eliza, wstając zza biurka i podając mu raport.

– Wy i wasze głupie pomysły – odparł szef zerkając na kartę i strzepując papierosa do podsuniętej mu przez Kubę popielniczki.

– Ale młody zrobił tam eks-pres – powiedział Kuba niepewnym tonem.

– Tak? – Szef spojrział na Antka przenikliwym wzrokiem – no i kto za to zapłaci? Prezes, który jest w więzieniu, firma, która nie istnieje czy może sekretarka, której ciała nigdy nie odnaleziono?



Aleksandra Gawlińska – od lat związana z fandomem fantastyki, należąca do klubu Elgalh'ai w Płocku, miłośniczka muzyki i kina amerykańskiego, stawiająca pierwsze kroki autorskie.

OPOWIEŚCI PRZY OGNISKU

Trzecia antologia Samowydawców



Premiera 21.06 | Przedsprzedaż 7-21.06

Czy naprawdę lubimy się bać?

Feranos

Kamila Goszczyńska

K: Cześć. Zaczynamy od podstawy. Jaka jest, Twoim zdaniem, różnica między powieścią grozy a horrorem?

F: To ciekawe pytanie. Kiedyś usłyszałem taką definicję, że groza dotyczy literatury, a horror nośników multimedialnych. Potem, że groza jest horrorem po wyłączeniu z niego elementów fantastycznych, że niby jak o duchach – to już horror, jak na przykład o mordercach – to już groza. Potem przeczytałem, że horror dotyczy jedynie strachu czy lęku jako naszych emocji, natomiast groza – szerszego kontekstu, bo może też nas przykładowo obrzydzić, zaniepokoić, zadziwić, ale w tym negatywnym znaczeniu. Uważam, że groza to dosłownie tłumaczenie słowa „horror” na język polski. W momencie kiedy tworzył przykładowo Grabiński, język angielski nie był, w Polsce przynajmniej, tak popularny, więc używaliśmy swojego odpowiednika, swojego rodzimego słowa i było to „horror”. Dlatego w ogóle „słowiański horror” jest dla mnie jakimś chaosem językowym. Słowo „horror” zaczęło się pojawiać, gdyż gatunek ten, permanentnie niszowy, nie był znany szerokiej gamie

odbiorców i przy napływie zachodniej popkultury wydawnictwa filmowe działające na terenie Polski doszły do wniosku, że czas na kolejną kalkę językową. Tak już zostało. W skrócie groza i horror to moim zdaniem to samo, tylko puryści językowi chcą brzmieć niemainstreamowo.

K: Dlaczego lubimy się bać?

F: Jest na to wiele odpowiedzi. Zadzajmy sobie przede wszystkim pytanie – czy lubimy? Czy może bardziej potrzebujemy? Jako nieopierzone dwunogi mamy konkretną sferę emocjonalną, która działa w konkretny sposób. Czasem potrzebujemy komedii, żeby się pośmiać, czasem dramatu, żeby popłakać, czasem potrzebujemy horroru, żeby się bać.

Ostatnio przygotowałem prelekcję na temat: „Pozytywny wpływ horroru na ludzką psychikę”, która swoją premierę miała na łódzkim Kapitularku. Specjalistą nie jestem, dlatego pomagał mi w niej Przemysław Duda, również pisarz, doktor neurobiologii i medycyny. Fajnie to wyszło, przyznam, no ale do sedna. Tylko niektórzy ludzie są w stanie znieść horrory i tylko niektórym one służą, innym

mogą wyrządzić większą krzywdę. Trzeba być do pewnego stopnia może nie tyle znieczulonym, ile raczej samoswiadomym, trzeba mieć odpowiednie nastawienie, ale ogólnie nikt nie lubi się bać. Nie ma ludzi, którzy wstają z krzykiem o trzeciej nad ranem, a głos przeobrażenia zmienia się w „ale zajebicie, ja chcę jeszcze raz”. Strach jest czymś, czego nie możemy lubić, możemy co najwyżej polubić to, jak dobrze sobie z nim radzimy. Może to być też narzędzie do polubienia samego siebie.

K: Co sprawia, że horrory cieszą się tak dużym powodzeniem?

F: A cieszą? Wydaje mi się, że absolutnie nie. Ludzie chętniej sięgają po wszystko inne, no może książki historyczne, choć i w to mi się nie chce wierzyć. W Polsce jest King i jest Lovecraft, poza nimi nikogo. Oczywiście jest mnóstwo autorów, ale w Polsce nie zanoszą się na to, żeby horror był kiedykolwiek w jakikolwiek sposób kultowy, ciesząc się powodzeniem. Bardziej uważam, że jest to korowód pozerstwa, ludzi noszących kultowe koszulki z Cthulhu, ale nigdy nie czytających książki. Horror jest jak ekstremalny metal, jest i pozostanie ciekawostką socjologiczną. Pytanie – czy obiektywnie powinno się to zmieniać?

K: Dlaczego zdecydowałeś się na pisanie w tym gatunku?

F: Lubię. W sensie piszę to, co czuję. W jakiś sposób pomaga mi to pewnie przepracować jakieś swoje problemy. Swoje lęki. Od kiedy wydałem Galerię koszmarów, odezwało się paru członków mojej rodziny z lekką troską o moje zdrowie psychiczne, co uważam za bardzo miłe i urocze. Od dawna śpię dobrze, widać, że gdzieś te koszmary tkwić muszą. Lepiej na papierze niż w mojej głowie. Choć raczej zawsze będę pisał fantastykę, oczywiście mroczną; jak mroczną, taką gdzie są tortury, zgroza egzystencjalna, walka o to, jak daleko jesteśmy w stanie się posunąć i jak potworne potrafi być życie, ale nadal będę pisał fantastykę. Galerię koszmarów traktuję jako projekt poboczny, ale już wiem, że nie ostatni tego typu.

K: Skąd Twoim zdaniem wziął się ten gatunek (horror)? Skąd się wywodzi?

F: Z baśni, legend i bajań. Weźmy na przykład braci Grimm, to te ich baśnie były przerażające. W jakiś sposób trzymały one sferę emocjonalną dzieci pokazując, że:

- a) świat jest straszny
- b) czasem nawet straszniejszy, niż ci się wydaje
- c) słuchaj rodziców najlepiej
- d) czasem się wszystko dobrze kończy.

W horrorach nie kończy się dobrze, to tyle. W jakiś sposób potrzebujemy

sobie o tym przypomnieć, że wszystko zawsze kończy się źle. Możemy mieć stado dzieci, dom na wzgórzu i zeppeliny ze złota, Nobla, Oscara, Grammy i Złotą Piłkę, ale nadal skończy się źle – umrzemy. Wiadomo, może skończyć się lepiej – wpadniemy pod samochód i zerwie nam rdzeń kręgowy zanim się dowiemy, że umieramy; albo gorzej – umrzemy na raka żołądka czy płuc, umrzemy z głodu, czy się wечно dusząc. Różnie to bywa. Natomiast skończy się źle, a o nas samych wszyscy zapomną. Strony wypłowieją, pomniki zmurszeją, dzieci będą miały wnuki, a te kolejne dzieci i może, przy dobrych wiatrach, będziemy literkami na drzewie genealogicznym jakiegoś koślawego rysunku w przedszkolu, ale ogólnie nie bardzo jest przestrzeń

na pozytywne zakończenie. W dzisiejszym świecie, w którym jest tak dobrze, jak nigdy nie było, kiedy ludzie dożywają średnio siedemdziesiątki, większość naszych znajomych raczej żyje, a o trupy nie potykamy się po drodze. Nie ma wojen, żebraków i nie umieramy z głodu – jesteśmy szczęśliwi. To jest nasze piętno, że tak nie powinno być, czujemy przed tym niepokój. Horrorzy przypominają nam o tym, że ten dziwny, sterylny, piękny świat, który sobie stworzyliśmy, może pokonać wiele, ale nie pokonał czasu i i tak umrzemy, a po nas wszyscy, których znaleźliśmy, potem zostaniemy zapomniani, przestanie istnieć cywilizacja, a potem ziemia, i elo... Pozwala nam to znaleźć balans w naszym życiu, w kulturze skupionego na własnym ego.

Prabucki Litwinow



wydaje mi się

PODCAST



SAMOWYDAWCY.PL

K: Dla kogo są książki grozy?

F: Sam nie wiem, nie wiem, czy to jest dobre pytanie. Ja nie myślę o tym, do kogo piszę. Wiem, że ludzie czytają horror (wbrew temu, co mówiłem wcześniej, jest duży odsetek takich ludzi, tamto było tylko generalizacją), więc może chcieliby przeczytać i mój. Galeria koszmarów jest przede wszystkim dla ludzi, którzy lubią Lovecrafta i te jego dziwne rzeczy, choć tam bogowie są raczej kosmiczni, a u mnie to bliżej biblijności, absolutyzmu. Natomiast sam jako koneser filmów i tego typu książek też lubię treści, które mimo wszystko mają jakąś fabułę, nawet jeśli nie jakąś głębię, to chociaż cokolwiek oprócz strasznego momentu, żeby coś tam było.

K: Jaka powinna być według Ciebie dobra książka?

F: Nie mam na to jasnego wyznacznika, ale na pewno musi być wielopłaszczyznowa. Jeśli to książka o „typie, co robi coś tam”, to jest to dla mnie może nie tyle stracony czas, co... no stracony czas. Natomiast jeśli widzę tam alegorię za alegorią, to nadal nie wystarczy, jest coś jeszcze, coś ważniejszego, co jest dla mnie nieuchwytnie. Czasem mam tak, że książkę po prostu czytam, a czasem tak, że odpala mi się w głowie wewnętrzny lektor i czyta ją za mnie. Niewiele

jest takich książek, ale połączenie tych dwóch rzeczy jest właśnie dla mnie wyznacznikiem „dobra”.

K: Jaki Twoim zdaniem wpływ na czytelnika ma lektura książek zawierających straszne wątki?

F: Oczyszczający, tak sądzę. Zresztą to zależy i od literatury i od czytelnika, ale przykładowo fantastyka jest mocno zacementowana. Wiem o tym, bo sam mam elfy w uniwersum, ale tworzenie nowych ras jest bezsensowne, ponieważ czytelnik się zgubi i po prostu nie będzie rozumiał, co czyta. Horror natomiast jest dosyć ciekawym gatunkiem, ponieważ zaangażowany już emocjonalnie czytelnik (no a taki powinien być, o to autor powinien się postarać) w pewnym momencie musi wyobrazić sobie potworne monstra, wizje czy duchy, demony i musi to dosłownie zrobić, a nie ma żadnych zasad. Zawsze uważałem, że potwory Lovecrafta są śmieszne, tylko strasznie opisane. Jest to jedna z opcji, po której czytelnik jest zafascynowany i myśli sobie „o jaaa”. Co do reszty, to raczej czytelnik czuje się oczyszczony albo po prostu przerażony. Nie może spać, męczy swoją psychikę, potem ją niszczy, popada w depresję, potem już tylko samobójstwo i jeden czytelnik mniej – dobra robota. Dlatego, tak jak mówiłem, horror nie jest dla wszystkich.

K: Czy jest jakieś ograniczenie, jakaś granica dla autora piszącego horrory? Czy są jakieś zasady?

F: Nie mam pojęcia. Jak zabierałem się za pisanie paręnaście lat temu to doszedłem do wniosku, że jestem geniuszem samoukiem i nie będę się niczego uczył, po prostu jestem doskonały i tyle. Straciłem z dziesięć lat, żeby metodą prób i błędów poznać zasady, których mogłem się nauczyć w tydzień pewnie, ale co tam. No i finalnie piszę po swojemu, ale przynajmniej wiem, jakie zasady łamię, wiem, po co powstały i czy warto je łamać. Z horrorem mam trochę inne doświadczenie, czyli

żadne raczej, ale przede wszystkim odpowiedź znajdziesz w poprzednim pytaniu. To, co widzisz przed oczami, może być śmieszne, ale musi być opisane strasznie. To w ogóle jest uniwersalna rada – ważniejsze jest to, co czuje bohater niż to, co się rzeczywiście dzieje.

A czy jest jakaś granica? Jak będziesz starać się być strasznym za bardzo, to w pewnym momencie zerwiesz gwint i z horroru wyjdzie komedia.

K: Bardzo Ci dziękuję i życzę wielu wygłodniałych czytelników.

F: Dzięki.



Ferranos – pisarz z Suwałk, inżynier po SGGW. Fan horroru, fantasy, dramatu, romansu i wszystkiego, co może być nośnikiem emocji.

Pisze, bo wierzy, że słowa mogą zmienić rzeczywistość.

Wydał egzystencjalne fantasy *Spoowiedź Abysalu* (2022), oraz kompozycję grozy *Galeria koszmarów Ferranosa* (2023).

Halloween od kuchni

Karolina Salwowska

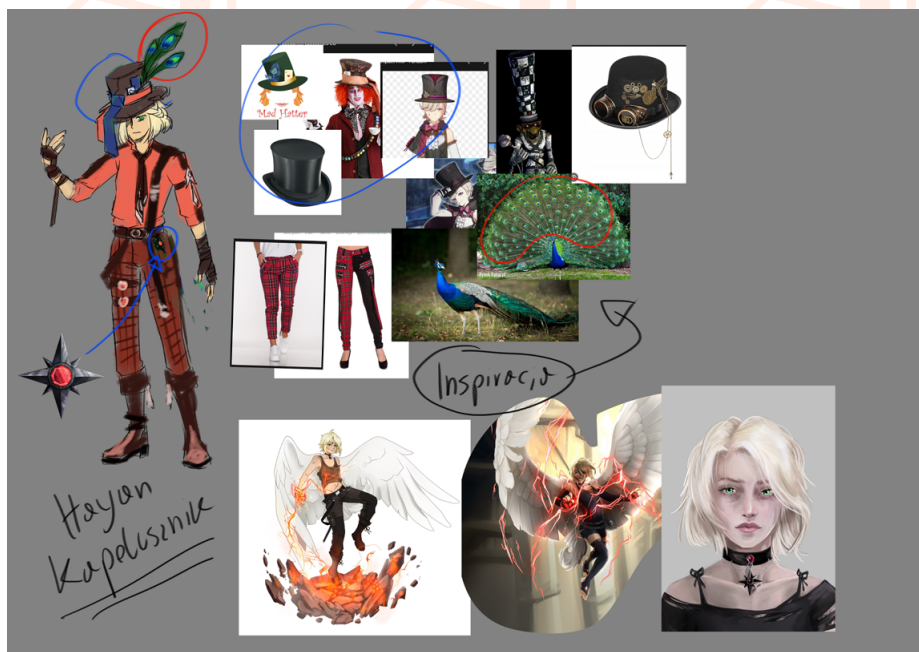
„Bogactwo wystawnej uroczystości, kreuje dostojny strój. Ten uszyty przez Juliana, perfekcyjnie skrojony miał odpowiadać roli jego towarzyszek.”

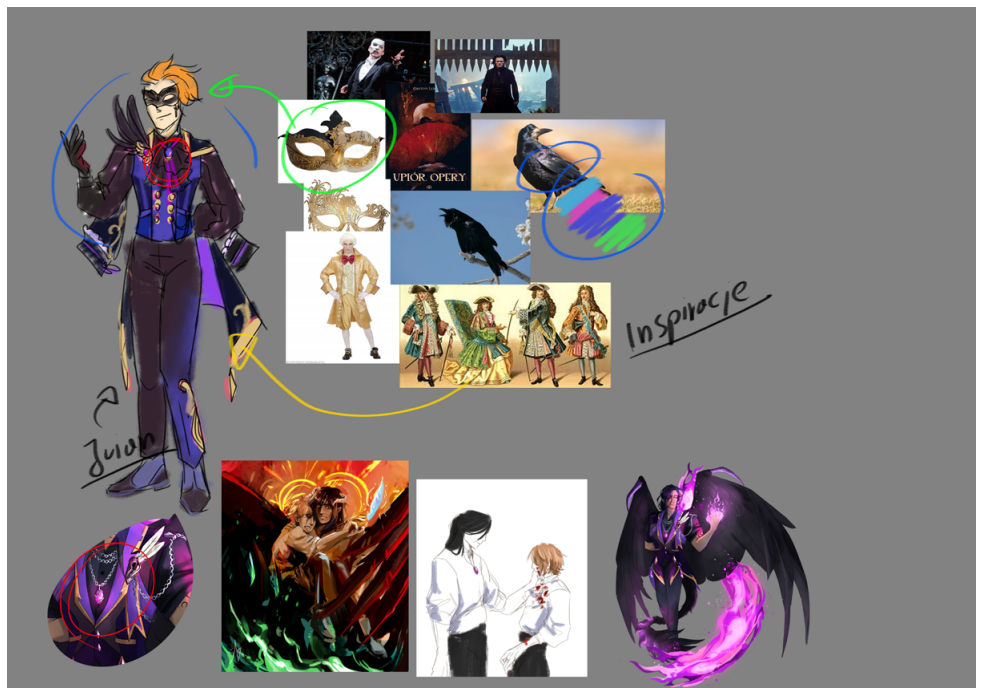
Słowem wstępu chcę wyjaśnić, że stylizyka anime jest stałym elementem w mojej twórczości. Prace będą więc często nawiązywać do wschodniej estetyki – zwłaszcza, jeśli tworzę coś powiązanego z serią Black Star.

Jak każdy artysta i ja zaczęłam od szkicu. Szukając odpowiedniej symboliki dla moich postaci, postanowiłam zaczerpnąć z tradycji Halloween i przebrać bohaterów Black Star za postacie z popkultury.

Tak oto mamy:

- Hayan jako Szalonego Kapelusznika z Alicji w Krainie Czarów
- Elizabeth jako Alicję z tej samej opowieści
- oraz Juliana jako połączenie weneckiego wampira z upiorem w operze.





Starałam się, by detale ubioru odpowiadały historii i charakterowi postaci, tworząc tym samym nawiązania do różnego rodzaju symboliki.

Kiedy już postacie zostały zaprojektowane, trzeba było je jakoś zakomponować. Prób było kilkanaście, jednak tu pragnę przedstawić tę, która zachowała się najdłużej.

Ostatecznie został wybrany motyw podwieczorku. Za czym szło moje pierwsze podejście do rysowania stylizowanego jedzenia. Przekąski miały być przede wszystkim słodkie i nawiązywać do Halloween. Dlatego główną rolę gra tu mózg dyni i czerwona herbata, w której pływają cukrowe kości i pająkowe żelki.



Wraz z zakończeniem etapu szkicu nadszedł czas na kolor. I nie było to proste. Okazało się że ilość elementów połączona z chęcią użycia jednocześnie nasyconych, jak i stonowanych barw nie wyszła najlepiej.

Najlepszą decyzją okazało się docięcie pracy.

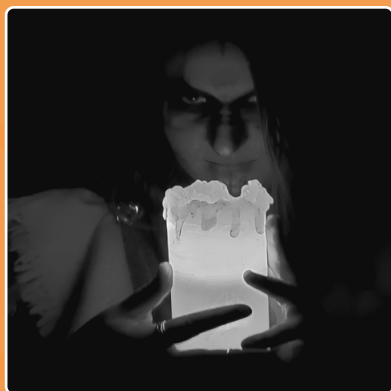


Mocny kontrast kolorów. Ostre światła i mocne cienie nadały obrazowi odpowiedni klimat.



Ostatnie co pozostało, to nadanie pracy charakteru zdjęcia i nadanie dynamiki poprzez lekkie przechylenie.

I tak oto prezentuje się efekt końcowy grafiki cyfrowej pt. „W cieniu nocy, w blasku lamp rozpocznie się nasz chytry plan.”



Karolina Salwowska – ur. 2000 r.
Rysownik, studentka i fanka fanta-
styki. Autorka książek młodzieżo-
wych i twórczyni Black Star.

Nie taki debiut straszny jak go malują

Sylwia Gudyka

Debiut literacki jest czymś, co spędza sen z powiek początkującym autorom. Sam fakt opublikowania treści swojego autorstwa dla niektórych jest na tyle przerażający, że w obawie przed linczem chowają do szuflady całkiem dobre teksty. Ale co by się stało, jeśli odważyliby się ruszyć w nieznaną i stanąć czoła debiutowi, by w końcu zaistnieć w świecie autorów?

Debiut jest czymś, czego nie da się uniknąć, wchodząc na rynek księgarsko-wydawniczy. Jest to swego rodzaju inicjacja, która otwiera przed nami autorami okno na całkiem inny świat. Czy jednak wejście na rynek autorski jest lekkie, łatwe i przyjemne? I dlaczego debiuty wydają się takie przerażające?

Jako początkujący pisarze żyjemy w świecie pełnym sprzeczności – z jednej strony słyszymy od autorów, że z pisania nie da się godnie żyć, a z drugiej widzimy, jaką radość czerpią z każdego sprzedanego egzemplarza, każdego autografu i zdjęcia z nowym (lub starym) czytelnikiem. W takiej chwili w pisarskim serduszkach rodzi się pragnienie uznania i zdobycia rzeszy fanów dla

naszej twórczości, nawet jeśli miałyby to być jedynie hobby. Ale oto na drodze staje nam on. DEBIUT.

Debiut to nowy początek. Coś nieznanego i enigmatycznego. Coś, co dla wielu czytelników będzie pierwszym i często ostatnim zetknięciem z autorem. Czy to jednak oznacza, że debiut przekreśla wszystko albo otwiera przed autorami wszystkie drzwi? Niestety nie. Nawet słaby początek można przekuć w coś dużego i pięknego, trzeba tylko pracy. Pracy nad fabułą, stylem wypowiedzi i warsztatem pisarskim. Dobry debiut paradoksalnie wymaga tego samego, co ten słabszy. Jako autorzy stawiamy sobie wówczas wysoko poprzeczkę... i dobrze. Dzięki temu, z każdą kolejną książką będziemy (miejmy nadzieję) lepsi.

Zatem, czy tak faktycznie jest, że debiut to zło konieczne i należy się go bać?

Odpowiedź jest prosta. Nie. Jednak by debiut nasz przebiegł bez zakłóceń, należy rozważyć kilka kwestii.

Na początek warto zastanowić się, jaką drogę wydawniczą wybieramy. Czy chcemy szukać wydawnictwa?

A jeśli tak, to jakiego? Z kolei jeśli chcemy wydać samodzielnie, czyli zostać autorem niezależnym, musimy uzbroić się przede wszystkim w cierpliwość i dobrze sobie rozplanować cały proces wydawniczy. W takiej chwili warto także wskazać, że należy uważać na wydawnictwa vanity, które często żerują na debiutanckiej niewiedzy, przez co początkujący autorzy tracą nie tylko pieniądze, ale i czas.

Co jeszcze może zrobić debiutujący? Przede wszystkim nie bać się szukać rozwiązań oraz odpowiedzi na nurtujące go pytania. Dobrze jest porozmawiać z autorami, którzy odnieśli już sukces w sferze autorskiej, z tym że należy pamiętać, że każdy pisarz debiut przeżywał nieco inaczej. Po drugiej stronie warto podejść do tego na chłodno, w ramach eksperymentu. Nie stawiaj na jedną kartę i miej świadomość, że



redaktor
ewa ✓

#OFERUJĘ

Redakcja, korekta, przystępne ceny,
rabaty za powrót, rozsądne terminy.

Zachowuję styl autora, nie uszczęśliwiam
tekstu na siłę.

Dla bezpieczeństwa własności intelektualnej
autora podpisuję klauzulę poufności.

Udostępniam rekomendacje i portfolio.

ewa-skibinska@wp.pl

to tylko pierwszy krok na drabinie do sukcesu. Przed tobą długa droga, którą, jeśli będziesz wytrwała i uparty, dotrzesz w upragnione miejsce. Prosto w ramiona satysfakcji z bycia autorem.

To, o czym warto wspomnieć już tak na sam koniec, to błędy, jakie często popełniają niektórzy debiutujący autorzy.

Po pierwsze, najgorszym co można sobie zrobić, to wywołanie wielkiej dramy w mediach społecznościowych tuż przed planowaną premierą. Chociaż wielu uznaje to za dobry i skuteczny marketing, bo zwiększa zainteresowanie, w przypadku debiutu jest raczej drogą do ostracyzmu.

Drugim błędem jest nieodpowiednie dobranie patronów do książki czy też ich brak. Dlaczego? Dlatego, że dobrzy patroni nie tylko pomogą w marketingu i promocji książki, ale też w wielu wypadkach wesprą autora w trudnych chwilach.

Podchodząc do wydania książki jako debiutant, trzeba koniecznie zainwestować w specjalistów od słowa: redaktora i korektora, ale przede wszystkim świetnego beta-czytelnika, który nie tylko wskaże nam błędy i dziury fabularne w książce, ale także będzie naszym pierwszym czytelnikiem, który pomoże nam doprowadzić dzieło do końca.

Ostatnim błędem z wielu, jakie można popełnić, jest brak podziękowań czy poszanowania pracy ludzi, z którymi współpracujemy przy debiucie. To ważne

przedsięwzięcie nie tylko dla nas, ale także dla nich. Dlatego, debiutancie, nie bój się powiedzieć „dziękuję” tym, którzy pomogli ci dotrzeć tak daleko, bez nich ta droga byłaby dużo trudniejsza.

Czy nadal debiut wydaje ci się straszny? A może to nie lęk przed debiutem cię powstrzymuje, a obawa przed staniem w pełnym świetle? Na te pytania, mój drogi debiutancie, musisz odpowiedzieć sobie sam.



Sylwia Gudyka – miłośniczka literatury fantasy i science-fiction. Pogromczyni błędów językowych i autorka tekstów z gatunku fantasy. Na co dzień prowadzi bookstagrama @fantastyka.w.recenzji.

Olcha z Wilczej Doliny

Rozdział IV Cmentarz Wyklętych

Agata Kasiak

Odkąd burza odeszła na wschód, noc stała się cicha. Odgłosy piorunów zastąpiło miarowe trzaskanie świeżo dołożonych drewna na palenisku, a zwiastujące grzmot metaliczne błyski ustąpiły ciepłemu światłu ognia. Jednoizbowa chata wiedźmy stała się przytulnym schronieniem wobec ciemności i nasilającego się w Wilczej Dolinie deszczu.

– Rozlało się na dobre. – Głos staruchy dotarł uszu niemal już śpiącego Wilka.

Chłopak zamruczał nieznacznie, nie unosząc nawet głowy z kolan swej pani. Po bębnieniu strug wody o trzciniasty dach poznał, że łagodny, kojący szum deszczu przeistoczył się w prawdziwą ulewę.

Blask płomieni zamykał przestrzeń izby w jeszcze mniejszą, oświetloną. Światło czyniło widocznymi kociołki ustawione wokół grodzonogiego kamienia paleniska, taborety, ławę i bierwionowe ściany uszczelnione sieczką i polepą. Wgniecenia klepiska zacieniało i zupełnie nie docierało na podwieszony stryszek, między półki z gratami czy uwieszone u sufitu bukiety suszonych ziół.

Z wyścielanego skórą legowiska, z głową na kolanach wiedźmy, młody wilkar zapatrzył się w ogień. Trzask płomieni koł zmysły, a powolne głaskanie pani dawało poczucie bezpieczeństwa. Coś jednak wciąż wwierało się w umysł młodzieńca. Bursztynowe oczy znów widziały Boginkę, a ostatki siły woli broniły się przed zawładnięciem.

– Wilkomir...

Wymówione imię wkradło się w ciepłe powietrze izby.

Starucha otrząsnęła się na jego dźwięk jak zdjęta chłodem.

– Coś ty rzekł, gadzinko miła? – spytała, jednakowoż oschle.

Przestała gładzić czarne włosiska chłopaka, a on, nieświadomie, tym razem nie upomniał się, by wróciła do uspakajającej czynności.

– Pani... Kto on? Ten Wilkomir? – ponowił zaniepokojony.

Psioczenie wiedźmy nie świadczyło o jej sympatii do tego imienia. Nie zwiastowało też żadnego miłego wątku.

– Na oczym nie widziała – podjęła stara. – Alem słyszała. Jeszczem młoda była. Króla to imię z północy. Bestiami władał ów, mówiono w świecie. Czemu pytasz?

– W głowie słyszał. Boginka wołała go.

Stara warknęła pod nosem. A potem najwyraźniej pogodziła się z prawdą. Nie brzmiała ona pomyślnie, choć zwyczajnie:

– Wpadłeś jej w oko.

– Tak, pani. Chybam wpadł.

Westchnąwszy, młodzieniec położył sobie dłoń wiedźmy na włosach, zachęcając do wznowienia głąskania.

– Ręka wciąż pachnie ci, pani, kiełbaską – pochwalił beztrósco.

Olcha wpieryw odruchowo wróciła do bawienia się jego lokami, wszelako jednak zamysłona. Aż z czasem ocknęła się.

– A ten wyleguje się i piękni! – zagderała. – Głowę ciężką masz, gadzino, jak kapusta! DREW byś dołożył lepiej i kolanom moim dał odpocząć! Widzieli takiego! Do głąskania się podkłada! Malusi pieszczoszek!

Zadowolony z czułego połajania zwiłókł się do roboty. Dołożył szczapek i większych dREWien do ogniska, po czym władował się do posłania starej.

– Mogę spać z tobą, pani? – przymilał się w posłaniu. – Ogrzeję ci stare kości.

Na „stare kości” baba skrzywiła się w myślach. Ale cóż było ganić chłopaka, skoro sama tak o sobie mawiała. Westchnęła, nim cokolwiek rzekła. Wilko zwykle spał na stryczku, ale tym razem wobec chłodu i słoty wiedźma poklepała go po głowie pocziwie.

– Niech ci będzie. Byleś tę kapustę z moich kolan zabrał. – Postukała go rażno po czole.

Ułożyli się wnet wygodnie, okryli skórą niedźwiedzią. Ale w sielankę przytulnej nocy wbiło się znów wilkowie dociekanie:

– Czemu Wierzbowa Boginka wzywa owego króla Wilkomira z imienia, pani?

– No temu się wzięło na spytki!

– Pani, powiedz, proszę.

Zmiękła na łagodność chłopaka i szczerze zmartwienie.

– Wilkomir tyle onegdaj znaczył dla świata – odparła – co zbój, porywacz i wilkołak. W jednym. Żyłam w czasach, kiedy przestrzegano przed nim, kiedy każda niewiasta od młódki po dzieciątą na dźwięk tego imienia uciekała byle w największe ostępy. Bowiem porywał on co tylko się ruszało i w góry uprowadzał. Jaki los gotował brankom, to tylko te góry by wyjawić mogły. Kto wie, może karmił swoje bestie owymi nieszczęśnikami? To jedynie rzec ci mogę pewnego, że bestie legendą nie są, a prawdą najprawdziwszą. Samam bowiem na własne oczy widziała te stwory. Gdzieś tu, w tych górach, jednej strasznej nocy. Oto masz, ile wiem o Wilkomirze.

Ważył to wyraźnie.

– A Boginka? – Naprzykrzył się po jakimś czasie jednak, kiedy myślała już, że będzie spał.

– „A Boginka?” się pyta. – Starucha prychnęła, nierada na pogawędki nocą. – Nie wiem, dziecko, szczerze. Tak nudzisz i nudzisz... Dawny to byt, jakem ci już rzekła. Najstarszy w tej dolinie, jaki znam. Jeśli przekłętego króla wołała z imienia, zapewne do niej modlił się ów, może jej ofiary składał? Nie pojmiemy. Nie tej nocy. Kiełbasym pojadła, dziecko, zrozumże. Sennam. A i tobie by się oczy zmrużyć przydało. Potrzebnyś mi jutro do roboty. Zima idzie, czas doglądnać spraw.

Skinął, markotny na myśl o rąbaniu drewna, o pakowaniu manatków i stopniowych przenosinach w zwarte chaty, o których wspominała stara. Nie uśmiechało się Wilkowi zamieszkać w zimowej osadzie z ludźmi po tym, jak nie poszło mu z ojcem Miłej. Jakież było jednak jego zdziwienie, gdy na obiecanie rąbania drewna, wiedźma odrzekła:

– Drwa chłopom zostaw, Wilko. Tobie trzeba ze mną ruszyć.

Aż uniósł się na łokciu ciekawie.

– Wierci się taki i zimno mi w koszulę wpuszcza! – zrugowała go.

Gdy poprawił się, by skóra niedźwiedzia szczelniej okryła staruchę, ta dokończyła myśl:

– Kiedy chłopcy osadę na zimę szykują, Wilko, nam trzeba o co innego zadbać.

– O co, pani?

Zawiesiła głos, potem przerwiała wzrok na wilkara. I odparła ponuro:

– O Cmentarz Wyklętych.

Wilko wiedział, że nie wolno mu samemu zapuszczać się na mglistą wyspę mającą na jeziorze. Posłusznie trzymał się tego, wedle przykazania wiedźmy. Tym bardziej tego poranka cieszył się, że wreszcie ujrzy tajemnicze miejsce i to u boku swej pani. Jak prosiła, wytaszczył dłubankę z szopy, zapakował łopatę i tobołek z grudkami złota oraz wielki wór soli odsączonej z wód jeziora przez Krzesąda. Czekał przy brzegu, aż pani dokuśtyka do łódki, odbił promienisty uśmiech bezzębnej. Potem odebrał od Olchy pochewkę ze srebrnym sztyletem i tę ostatnią już rzecz ukrył wśród potrzebnych do wyprawy kłopotów. Z lubością zapatrzył się w staruchę, zachwyconą widokiem mglistego poranka i mających za mokradłami szerokich wód jeziora.

Bo rzeczywiście wiedźma była tego poranka nad wyraz szczęśliwa. Jak powtarzała, Wilko tak wygrał jej kości nocą, że ani pół kolana nie doskwierało jej tego dnia.

– Jak rąca łania fikam tu i tam! – zarechotała i teraz, wchodząc do dłubanki. – Widzisz ty?

– Widzę, pani. – Chłopak cieszył się tym bardziej, chłonąc jej wyborny humor.

I to rzekłszy, wyprowadził łódź na wodę, po kilku krokach wskoczył w nią i wziął wiosła. Wiele razy widział, jak we wsi używa się podobnych i szybko pojął, jak działają. Nie karcony, uczył się szybko i wkrótce całkiem sprawnie skierował dłubankę przez bagniste rozlewisko ku wodom jeziora.

Mógł odprężyć się. Znów pojaśniał na widok równie rozmarzonej podróżą staruchy.

– Wnet mgły osiadą, prawie na czas dopłyniemy – podjęła.

– Na czas czego, pani?

– No dnia, dziecko. Im słońce wyżej i jaśniejsze, tym lepiej. To bardzo ponura wyspa, mówiłam ci. Lepiej tam za dnia bywać, jeśli już się musi. Choć... tam zawsze jakby noc panuje.

– Tak, pani. Mówiłaś. To musi być dziwne. – Zasępił się. – Noc nawet za dnia.

– Ano dziwne, dziwne, dziecinko. Sam ujrzysz niebawem.

Tymczasem mleczne welony nad wodami rozpląwały się pod wpływem ciepła jesiennego słońca. I wkrótce odstłoniły całą panoramę, aż po bielejące już śniegiem najwyższe szczyty gór otaczających Wilczą Dolinę. Zapowiadał się piękny dzień.

Ale rzeczywiście im bliżej wiedźma i wilkar byli dziwnej wyspy, tym moc słońca zdawała się słabnąć, a władzę przejmowało coś innego – coś kojarzącego się Wilkowi z chłodem i śmiercią. Krajobraz tracił żywotność, blakł, aż niemal zupełnie stracił barwy.

– Jużeśmy blisko – posępny głos wiedźmy zabrzmiał mało dźwięcznie.

Wilko złożył wiosła i obejrzał się za siebie. Przybijali oto do coraz lepiej rysującego się lądu. Z mlecznej zasłony wprawdzie wyłaniał się

tkwiący na wyspie las, ale teraz, z bliska, Wilko spostrzegł, że drzewa były zupełnie pozbawione liści. I nie straciły ich przedwcześnie tej jesieni, ani najwyraźniej zeszłej. Wyglądały, jakby martwota pochłonęła je wiele wieków temu, a jakaś zła moc tego miejsca kazała im tak tkwić tu po śmierci niemal w nieskończoność. Jakby wyspa stała się cmentarzyskiem również dla nich.

Kwaśna mina wiedźmy nie poprawiła wilkarowi nastroju. Chłopak westchnął tylko. Ale potem Olcha złapała jego wzrok i pokiwała głową krzepiąco:

– Nic się tu nie zmienia od lat.

Nawet uśmiechnęła się, i choć smętny był to grymas, dodał otuchy Wilkowi.

Dłubanka zaryła w brzegu i nie było rady – chłopak skoczył w jezioro, zgarniając łódkę na ląd.

– Jesteśmy, pani – oznajmił, podając starej rękę, by wysiadła bezpiecznie.

– Ano, żeśmy są.

Chwilę patrzyli na ścianę powykrzywianych starością, łysych konarów dawnej puszczy. Postali, podumali, westchnęli ciężko. Wreszcie zgarnęli z łodzi potrzebne kłamoty i ruszyli w środek martwej kniei.

Noc zapadła, ledwo przekroczyli ścianę lasu. Wilko nastawił uszu na pierwsze skrzypienie poskręcanych kikutów drzew. Wilczy wzrok szybko pokonywał mrok. Nozdrza chodziły czujnie, zapoznając przesycony martwotą zapach wyspy.

– Pamiętaj o padlinie – mruknęła wiedźma. – Lepszy masz węch niżli ja.

– Tak, tak, pani, pamiętam. Póki co jeno zgnilizna i pleśń. I zbutwienie.

– Dobrze, dobrze. I oby tak dalej. Choć nie łudzę się, że utopkowe panny nie napsuły tu czego. Zawsze coś rozkopane. Jeszcze nie było roku, żeby która za dawnym kochankiem nie wydarła się słonym wodom.

Wilko pokiwał głową. Wiedźma uprzedzała, że święte wody słonego jeziora, które skutecznie więziły owe utopki, czasem jednak stawały się nie dość skuteczną zaporą między światem żywych i umarłych, i któryś z topielców wydostawał się na brzeg. Zupełnie tak, jak kilka nocy temu, kiedy jedna z tych podwodnych istot zabiła nieszczęsnego Brzósę i przeraziła całą wieś.

– Pani, czy ziemia może być martwa? – Dziwne pytanie Wilka rozeszło się w mrok.

– Ta jest martwa, jeśli o to ci się rozchodzi. Jak i martwy las. Cała wyspa.

– Klątwa to jakaś?

– Zapewne. Ale nie wiem czyja. Powiem tyle, że Góry Północy poznałam w ciemnościach i to miejsce najbardziej przywodzi mi przed oczy tamten czas. Okropna to była noc. Wciąż śmierdzi tu nią. Choć wszystko zdaje się inaczej wyglądać.

– To może tamten czas, pani, ową noc, też tu uwięziono?

Na dziwne słowa chłopaka wiedźma aż przystanęła. Wiedziała, że Wilko wymówił je nieświadomie, ale musiała przyznać, że bardzo trafnie.

– Hmm. Aleś to ciekawie rzekł – przyznała.

Ruszyła dalej wprawdzie, ale zadumana.

– Uwięziona noc... – powtarzała sobie. – To ci. Kto wie? Kto wie? Hmm.

Niedługo później jej ciche nucenie wypełniło martwy las.

Nie płacz, nie płacz,
czekaj mamy.

Mama śpi pod skałą,
obudzi się z gwiazdą.
Wyglądaj Północy.

– Aaa!

Wilko zakrył oczy, wystraszony z nagła.

– ONA. – Stara wnet dopadła go, zagładając w twarz.

– Tak – wydukał – ja... Właściem ujrzał marę... Jak w mgnieniu oka. Kobietę... Boginkę! Wierzbową Boginkę, pani!

– Budzi się. – Stara zmieliła kilka przekleństw. – Czuję JA. Jędzę zboląłą.

– Ale tutaj...? Czemu tu, pani? Nie tam, przy wodospadzie?

– Wiadomo to, gdzie moczy swe korzenie? Oplata całą Dolinę jak grzybnia. Czuję tę samą martwość i...

– Samicę.

Drgnęła. Trafność kolejnego określenia zaskoczyła ją w Wilku.

– Taaa. „Samicę”. Dobrześ to ujął, dziecko. Znać, żeś krwią z Gór Północy. Bardziej niżli ja.

Niby skinął. Ale był wzburzony jeszcze po owym dziwnym przywidzeniu i mało cieszyły go te pochwały. Jeszcze też słabo docierał doń ich sens. Chłopak przede wszystkim starał się ochłonać.

– Te utopkowe panny, pani – myślał głośno – czekają jej może? Jak w tej przyśpiewce?

– Całkiem możliwe, niestety. Nie podoba mi się to wszystko. Coraz więcej JEJ czuć w Dolinie, wiesz? Oby się nie ziściły te śpiewania. Że też mi się zanuciło. Ech, choćże, dziecko, nie marnujmy czasu.

Zgodził się, choć nie do końca wiedząc na co, po czym oboje przyśpieszyli kroku.

Korzenie martwych drzew wpełzały pod nogi, uprzykrzając drogę w nieprzyjemnym mroku. Mgła co raz to wyglądała zza powykrzywianych pni, to chowała się. Czasem całkiem zagradzała drogę i oblepiała zimną wilgocią, jak trupimi mackami.

– Ech, usiadłabym przy grzanym winie – zachichotała starucha. – Takóż uczynimy po powrocie, mój Wilko, dobrze mówię?

– Dobrze rzeczesz, pani.

Już wyobrazili sobie ciepło paleniska i przytulne poślanie wymoszczone skórami, gdy wnet Wilko zastygł. A wiedźma zamarudziła, domyślając się, co wyczuł.

– Padlina, pani – ostrzegł.

Pokiwała głową. I skierowała kroki w wiadomą sobie stronę.

– To pewnie Nowy – orzekła, niemal lekko. – Najczęściej jego zakopuję. Wyobraź sobie, przyjezdny ów młodzian zakochał się bez pamięci... i zresztą bez rozumu... w utopkowej pannie. Z kupcami przybył i już nie wrócił do swoich. Topielica zwabiła go w odmęty i tyleśmy go żywego widzieli. Żywego. Bo martwego to już nie raz! Wprzód o pełni księżycowej. Najbliższej, jaka po jego śmierci wypadła. Wody święte musiały wyrzucić truchło na brzeg. I okrągły księżyc wrócił go światu, ale nie żywego, lecz w potwornej postaci.

– Jakiej, pani?

– Wilkołaka. Wszak utopki skażone są tym obłędem i na wielu tenże sprowadziły. Wilkołactwo. Czemu, nie pytaj. Tego nie wiem, niestety. Ale z ubolewaniem rzec muszę, że Nowy zabił wielu swoich, kiedy z karawaną kupiecką odjechali dalej. A jednego ranił. Wszyscy oni przez trzy lata grasowali o pełni po Górach Północy, a może i dalej. Czy wszystkich zgładzono, nie wiem, w Dolinie jednakowoż z pomocą szarych klanów wilkarskich twojego wuja Ludmara, udało nam się zabić samego Nowego i czterech mu podobnych. I tuśmy ich pochowali. Wszak, jak wiesz już, ciepłopalenie za pomocą świętego ognia nie przysługuje istotom tak skalanym, jak utopce czy wilkołaki. Ludzie wierzą, że bogi obraziłyby się za takie splugawienie ich daru.

– Daru ognia?

– Tak. Ognia. I kiedyśmy już Nowego złożyli na tej martwej wyspie, Dolina, zdawało się, zaznała spokoju. Aż do któregoś lata, kiedy szkwał nie wyrzucił z głębin jeziora utopcowej panny na ten ląd. Nieszczęsna wykopała kochanka z mogiły, złoto z pyska wyjęła, i o pełni znówemy usłyszeli jego wilkołaczy zew! Na szczęście bał się wody,

nieszczęsny. I za dnia, sama jedna, przybiłam łodzią na Cmentarz, grób jego rozkopany znalazłam i nieszczęsnego przywołam. Jak wystraszone dziecko, sam grób sobie pogłębił, potem złożył się weń, wziął złoto z mych dłoni i zasnął. Natrudziłam się naówczas z łopaciskiem przeciężkim. Ale dziś ciebie mam, dziecino miła, na chwałę bogom. Choć tyle wytchnienia.

Wilko łypnął na dzierzoną w dłoni łopatę i westchnąłby, gdyby woń padliny znów nie uderzyła w nozdrza mocniej.

Warknął, zatrzymując się i wyostrzając zmysły. Zasłonił sobą panią od strony, z której nadchodziło coś ze świata zmarłych. Zapach martwego ciała, chronionego mocą wilkołactwa przed całkowitym rozkładem, był już niemal namacalny. Z mgły i mroku wyłaniał się też jego ludzki kształt.

Wilko rozumiał, że nie było pełni, więc stworzenie nie przybrało wilkołaczej postaci. Ale wiedział też, że było niebezpieczne.

Najeżył się, warknął. W odpowiedzi pośród martwego lasu rozeszło się gulgotanie z gardzieli ożywieńca i jego człowiecze sapanie. Wkrótce żywy trup wyczłapał spomiędzy drzew, starając się wyprostować złączone leciwymi stawami zwłoki. Obnażył zębiska dawno już nie przypominające ludzkich. Większe i poczerńiałe długim spoczywaniem w ziemi. Cała skóra była szara martwotą i błotem, a zapach trupa mieszał się z wonią grobowej ziemi.

– Chodź! – zabrzmiał nagle czule głos staruchy zza pleców Wilka. Zdumiony chłopak odstąpił o krok, patrząc, jak żywy trup z radością w mętnych ślepiach rzuca się ku wiedźmie!

Łagodnym ruchem dłoni pani powstrzymała wilkara przed jakimkolwiek działaniem, a potem już tylko patrzyła w żałosne oblicze idącej w jej objęcia szkarady.

Kiedy trup pochylił się ku wiedźmie i oboje objęli się, Wilko aż zapomniiał oddychać. Z pełnymi płucami tkwił, widząc coś podobnego pierwszy raz na oczy. Z zapartym tchem błagał bogów, by chwila

dobiegła końca, a chodzące zwłoki zwilkołaczałego człowieka mogły szczęśliwie wrócić do grobu.

Po chwili zażyłości pani powiodła stworzenie ku, jak się okazało, grobom. Wkrótce zresztą oczom stąpającego z tyłu Wilka ukazała się cała usiana mogiłami polana. Spowijała ją mgła, na tyle rzędąc, by wilkar mógł przerazić się ilością pochowanych tu zmarłych. Nim przestał się gapić na ziejące grozą miejsce, Nowy leżał już w grobie, głaskany po czaszce przez wiedźmę. W następnej chwili przyjął do ust złoto, zamknął paszczę i pozwolił sobie obwiązać zuchwę, by ta nie opadła i nie zgubiła grudki. Potem martwe powieki zasłoniły zmętniałe oczy i Nowy wrócił w martwy świat. Zaś starucha wstała, wskazując na trzymaną przez wilkara łopatę.

Chłopak skoczył, odzyskując przytomność umysłu, i ochoczo wziął się do roboty.

– Szmata zgniła i widno puściła na zuchwie. – Zakopywaniu grobu towarzyszyło głośne myślenie wiedźmy. – Złoto wypadło z ust Nowego i jużci przywróciło wilkołaczemu obłądowi. Męczył się nieborak. A o pełni dopiero by cierpiał.

– Ale wód by nie pokonał, tak, pani?

– Tak. Wilkołaki boją się wody. Zwłaszcza osolonej.

– Osolonej łzami utopkowych panien.

– Albo li czym innym. Wie to kto? Ech, kop, Wilko, żwawo. Grzane winko mi się już marzy i ciepła strawa.

– Tak, pani. Mnie też.

Kończąc robotę, Wilko odpowiadał na różne uśmiechy bezzębnej opiekunki i oboje byli w znakomitym humorze. Potem obeszli całą cmentarną polanę, oglądając wszystkie ładnie zachowane groby. Żaden nie był naruszony, niektóre zabezpieczone totemami czy innymi znakami.

– Pani, czemu on tak słuchał ciebie? Ten Nowy – przypomniał sobie Wilko, kiedy już mieli wracać.

Wiedźma ważyła coś chwilę, wreszcie skinęła nań, przywołując ku sobie. I poprowadziła w nieco zasłonięte martwymi konarami, bardziej zamglone miejsce. Zeń wyłonił się jeszcze jeden, ostatni już najwyraźniej grób. Ale nie był jak inne niski i płaski. Był wysoki na kilku chłopa i okryty martwą darnią. Dodatkowo otoczony palisadą skierowaną w jego stronę.

– Co to, pani? – Wilko wybałuszył złote oczyska.

– Takie kopce grobowe zwali kurhanami.

– Czyj on, pani? Wiesz?

– Wiem, że podobny widziałam w tamtą noc.

– Wtedy, gdy trafiłaś w tę dolinę?

– Tak. Z kurhanu podobnego do tego przed wiekami wypadło coś, mara jakaś. I to ona zabrała mi młodość.

– Ten jest zamknięty, pani.

– I oby tak zostało. Ja zaś wiem, że czegokolwiek boją się czy słuchają we mnie te potwory, nie pochodzi ode mnie, ale od owej mary. To ONA nimi włada, Wiko, nie ja.

Młody wilkar skinął w uwadze. I jeszcze raz obejrzał się na kurhan.

– Nie wiem, co jest w środku, pani – podjął z nieprzyjemnym dreszczem na plecach – ale czuję tu samicę podobną do tej wierzbowej. Jakąś dziwną bestię. Może nawet tę samą.

Olcha dawno nie wyglądała na tak zaskoczoną.

– Samicę – wymamrotała bezwiednie. – Bestię.

I wraz z nim spoczęła wzrokiem na grodzonym miejscu najstarszego w tej dolinie pochówku.

Noc witali już w chacie, z grzanyim winem i ciepłą strawą, jak marzyli. Ale to właśnie ta noc sprowadziła na wiedźmę dziwny sen. Wilko uznał, że musiał być naprawdę wstrząsający, skoro nawet jego wiekowa pani zerwała się z pośłania prawdziwie zamroczona i aż schowała pomarszczoną twarz w kościstych dłoniach. Zza siwej szczeciny

rzadkich włosów starej wychowanek wiedźmy próbował zajrzeć w jej oblicze, ale nim mu się to udało, skarlłowaciła wiekiem kobieta pośpiesznie wykuśtykała z chaty.

– Pani? – Skoczył za nią zmartwiony, wyglądając z wysokiego progu. – Co ci? Sen żeś miała?

– Nic, nic. – Pokazała ręką, by został, nie obejrząwszy się nawet na niego. – Podumać idę.

Wiedział, że była mocno osowiała, jak jeszcze nigdy. Poznawał też, że chciała zostać sama. I domyślał się, że udała się na Uroczysko pod Święty Dęb.

Pokornie został w izbie, jedynie smętniejąc. Nie lubił, kiedy jego pani bała się lub smuciła, kiedy cokolwiek wytrącało ją ze spokoju. Szybko nauczył się, że skoro tysiącletnia wiedźma odczuwała coś niepokojącego, musiało być wyjątkowo złe.

Tego ranka już nie ciągnęło Wilka do wsi, zwłaszcza do Miłej. Na wspomnienie zajścia z ojcem dziewczyny wilkara przechodziły ciarki, smagane dodatkowo ogromnym wstydem. Odrzucenie wciąż bolało i potrzebowało czasu. Chłopak, jak rzadko kiedy, chciał zostać w chacie i zająć się obejściem. Tak też spędził dzień aż do południa. Porąbał dREW do ognia, by ogrzać izbę przynajmniej do czasu, kiedy z innymi mieszkańcami wsi przeniosą się na zimę do zamkniętej osady. Napalił pod kotłem, ugotował zupę – dokładnie wedle tego, jak pouczyła jego pani.

Ale zupa stygła, a wiedźma nie wracała. Wilko znów wyjrzał z progu i wciągnął zapach jesieni. Na delikatnym wiaterek zaklekotały opodal spadające liście. Niektóre były już pożółkłe, choć wciąż w krajobrazie panowała jeszcze zieleń. Suche zarośla zakołysały się. Wśród dominującej woni mokrego od mgły światła Wilko wyczuł nieprzyjemną nutę zapowiadającą zimę. Taki zapach niósł się w górach tylko, kiedy najwyższe szczyty okrywał pierwszy śnieg.

Wilko westchnął, wracając w głąb izby. Dołożył dREW pod kociołek, by podtrzymać ogień i gorąc zupy. Siedział i dumał. Trochę o tym, jak szybko we wsi rozmyło się tamto straszne zabójstwo Brzóska nad jeziorem. O tym, że jesień i nadchodząca zima skutecznie powstrzymały łyż w dolinie, pochłaniając ludzi w przygotowaniach do zimy. O Miłej i tym, jak szybko z jego głowy uleciała niespodziewana fascynacja – że odeszła równie szybko, jak przyszła. Wreszcie najdłużej zanurzył się we wspomnieniu Wierzbowej Boginki, w tamtej wodzie, w jej dotyku...

Potaął twarz, wygrzebując się z tamtego na siłę. Poczł zdrową oznakę terażniejszości – burczenie w głodnym brzuchu.

Nie chciał jeść bez pani, choć aromat zupy, jakże gęstej od darowanego przez Krzesada mięsiwa, sprawiał, że ślinka ciekła chłopakowi, ilekroć zerknął na kociołek. Wreszcie Wilko nie wytrzymał – wstał i ruszył po wiedźmę w stronę Uroczyska.

Zastał panią skuloną jak dziecko w objęciach potężnych korzeni Świętego Dębu. Rzucił się ku niej, w obawie, że zaniemogła lub...

Ale odetchnął. Bowiem żyła.

– Uwarzyłem zupy, pani? – Kucnął przy kłębkę zwiniętym ze starszki i jej szat. – Choraś, pani?

– Dobre dziecko – szepnęła, patrząc czule czerwonymi ślepiami. Zdało mu się, że wcześniej płakała. – Zdrowam. Chętnie posilę się. Ale póki co, sam pojedz. Wróć, Wilko. Wróć... do siebie. I do ciebie. Czekaj mnie cierpliwie.

Nie nawykł dyskutować czy pouczać pani.

– To przyniosę stawy tutaj – stwierdził ochoczo.

– Później, dziecko moje. Później.

Posiedział, pomyślał w strapieniu. Ale cóż było robić? Pognął do chaty, przyniósł puchaty i ciepły koc. Potem okrył kobietę szczelnie. Usiadł. I czuwał.

Czas mijał tego dnia bardzo wolno. Mgliste południe wciąż nosiło ślady przedwczorajszej burzy, a wilgoć wypełniała dolinę. Dopiero później przez zasnuwane chmurami niebo zdołało przebić się jesienne słońce. Mało grzało, ale rozjaśniło świat. Czuwający pod dębem na Uroczysku chłopak to siadał, to wstawał, zaglądał na wieźmę. Wreszcie zdjął przyodziewek i schował się w wilczą postać. Zaskomlał.

Słońce zza urwiska doszło przełęczą, a potem znikło w chmurach na zachodzie. Wilczysko uniosło łeb, spojrzało w tamtą stronę tęsknie, po czym znów pisnęło cicho i złożyło głowę na łapach.

Nozdrza wyłapały zapach dymu idący od wsi. W chatkach mocniej grzano wobec nadchodzącej nocy. Krowy na pastwiskach darły się uporczywie, jak zwykle o tej porze dnia i roku. Niedojady nie smakowały już tak, jak świeże siano zgromadzone w lecie, czekające w obejściach. A chłód wieczora ścielił się już nad łąkami, wraz z mgłą i dymem znad palenisk.

Czarny wilk podrepcił znów, trącił nosem wieźmę. Ale skulona wśród korzeni dębu staruszka mruknęła coś tylko sennie.

To nie był jeszcze czas jej powrotu, pomyślał wilkar.

Zaskomlał niepewnie. I usiadł wiernie. Zapatrzył się w niekoszone trawy Uroczyska okrywane nocą.



Wieczorem wiatr przegnał chmury i mgły. Odślonił księżyc. Chłodne podmuchy głąskały zarośla pełne ziół. Zielone jeszcze, rzadko żółknące liście Świętego Dębu przeleciały niewielką garstką przez niebo rozświetlone niemal okrągłym księżycem. Kilka upadło tuż pod korzenie.

Wiedźma obudziła się łagodnie. Gorące wilczysko otulało jej plecy, podobnie jak ciepły koc.

Zamknęła zapuchnięte oczy.

Tak budziła się i zasypiała jeszcze kilka razy. Wilk albo ogrzewał ją swoim cielskiem, albo trącał troskliwie pyskiem. Czasem skomlał smutno, w niepokoju.

Około północy obudziło ją jego smutne wycie. Uniósł powieki, widząc wilkara w świetle księżyca, niedaleko za cieniem jaki w nocnej poświacie rzucała korona wiekowego drzewa. Zagubione stworzenie, ni to człowiek, ni to zwierzę – samotna istota tkwiła w jedynym miejscu, do którego czuła, że należy – przy swej pani. Zwierzę nie umiało inaczej, człowiek nie pojmował. Żal nad nim rozsadzał serce wiedźmy.

Kiedy wilczysko uniosło pysk i znów zawył, obraz rozmył się od łez w oczach Olchy.

– Wilko... Chodź.

Na dźwięk imienia, które mu nadała, wnet nastawił uszu i skoczył ku leżącej. Znów zbliżył pyszczysko do otulonej kocem staruszki. Wąchał przyjaźnie, uszy położył po sobie raźniej, w nadziei.

– Ciepłej mi z tobą – wymruczała.

Wilkarowi nie musiała dwa razy powtarzać. Szybko ułożył się, jak wcześniej, za jej plecami i otulił łapą. Aż westchnęła, rada na jego ciepło. I znów odeszła. W sen.

Ostatni raz obudziła się już o świtaniu. Ale świat nie pachniał odchodzącą, jesienną nocą, lecz ludzką skórą. Jej też gorąc czuła, przyjemnie ogrzewał policzek. Koc okrywał twarz i ciało, odcinając od chłodu porannego świata.

Bliskość piersi chłopaka przecięła świadomość staruchy. Serce ze wzmożoną siłą rzuciło w tętnice krew. Kobięcina jęła gramolić się w oszołomieniu. Wyjrzała znad koca.

Wilko obudził się czujnie. Nawet nie zauważył, że przybrał człowieczy kształt. Że może zaskoczył ją tym.

– Wróciłaś, pani? – wyszeptał sennie.

Odetchnęła nieco. Skinęła. Powiodła wzrokiem po mgłach Uroczyska.

– Wróciłam... – wymamrotała chyba bardziej do siebie.

– Dobrze. Jużem myślał, że umierasz, pani.

Wyłapała ten prawdziwy lęk i żal w jego głosie. Wyrzuty sumienia pokiwały głowami nad starą. Wiedziała, że choć nie chciała go wystraszyć przecież, to jednak można się było spodziewać rezultatu.

– Ja miałabym umierać? Ech, gdzieżby tam się bogi zlitowały – zamarudziła.

Wilko jednak tym razem nie dał się zwieźć starczej masce i żartom o tym. Był poważny, niepewny. Spytał cicho:

– To przez ten sen, tak? Zła mara jakaś? O czym? Wyjawisz mi, pani?

Milczała markotnie. Oparła głowę o pień dębu. Od widoku nagiego młodzieńca uciekła wzrokiem w mgłę.

– O Cmentarzu Wyklętych? O tych czarnych rycerzach? Tych upiorach? – dopytywał. – O Wierzbowej Boginiec? O utopcach? O zamarzającym morzu?

Nie odpowiadała. Nie wiedziała, czy chce mówić. Zwłaszcza jemu.

– Wiesz, że przed wiekami – zaczęła – tam, na wyspie – wskazała gestem jezioro – jakaś mara odebrała mi młodość. Nie wiem, ani jak, ani dlaczego, ani nawet kiedy to dokładnie było.

Słuchał uważnie.

– Trwałam tak, okradziona z życia – podjęła cicho – wiele lat, może wieków. Poznawałam tylko, że kiedym uchyliła powieki, lato zmieniało się w zimę, niczym za jednym mrugnięciem. – Tu uśmiechnęła się i zbliżyła nos do kory dębu, z lubością powąchała ją. – Z małego żółędzia w dłoni, com ścisnęła, wyrósł wprzód rodziciel Świętego Dębu. A potem, kiedy wieki i tamtego powaliły, z nowego żółędzia zasadziłam jego.

Wilko pojaśniał. Słyszał, że to wiedźma sadziła Święty Dąb, ale za każdym razem ta historia wstrząsała nim, czy może raczej wzruszała.

– To – mówiła – jedyna istota tak stara w tej dolinie, i jedyna, do której mogłam się uciec w sprawie, która mnie przerasta.

Skinął. Ważył jej słowa.

– A Wierzbowa Boginka? – Przypomniał sobie. – Rzekłaś, pani, że ona starsza, że rosła tu zanim ty przybyłaś.

Na wspomnienie tajemniczego drzewa wiedźma skrzywiła się. Nieznacznie, ale jednak.

– Wierzbowa Boginka nie jest mą przyjaciółką – rzekła. – Choć starsza ode mnie i o tego dęba.

Wilko zaś, wiedziony chyba jakimś dodatkowym zmysłem, spytał dokładnie o to, co stanowiło sedno jej zmartwienia.

– Ten sen przerósł cię zatem, pani?

– No... Zwalił z nóg na chwilę, to na pewno. Aż żem wrócić do siebie potrzebowała z dłuuuugiej drogi. Narodzić się, jak niegdyś, z dębowego łona. Wrócić do korzeni, podobnych tym, które chroniły mnie niegdyś.

– Ładnieś rzekła, pani. – Tak samo oparł skroń o pień, rozmarzony niczym dziecko słuchające baśni.

I wtedy odważyła się, zupełnie spontanicznie, smutniejac wszelako:

– Wilko... W tym śnie byłam Wierzbową Boginką. I dotykałam ciebie. To było pod wodą, w głębinie jakiejś. Oplatałam cię dłońmi... Wybacz, chciałam cię chronić od tej wiedzy, ale... tak po prawdzie jesteś mi większym przyjacielem od drzewa, od kogokolwiek. Wybacz, naprawdę.

Wilko zastygł bacznie. Zmrużył oczy, odchodząc jednak w jakiś inny wątek niż ten usłyszany. I, ku zdumieniu wiedźmy, zamiast zawstydzić się mocno lub zażenować sennymi fantazjami staruchy, wystrzelili:

– Pani, majaki były w wodzie może? Po udach, po tyłku, po...

Zatrzymał się w ostatniej chwili, wreszcie speszony.

Oboje poprawili się, raczej wręcz powiercili niespokojnie. Zerknęli sobie w oczy ukradkiem. Chłopak okrył się rumieńcem. Ale wiedźma tym razem stawiała prawdzie czoła.

– Tak – odparła niemrawo. – Czemu... pytasz?

Ocknął się. Nieco ogarnął sprawę.

– Nie przyznałem się, pani – podjął – ale kiedyś się kąpał pod wodospadem przy wieczornej burzy... coś w odmętach... jakby korzenie... miękkie niczym dłonie... One właśnie dotykały mnie, jakieś rzekła, w twym śnie.

– Nie przyznałeś się, bo... Oj, wybac, głupio pytam.

– Nie przyznałem się – dopowiedział jednak – bom wstydził się tych miejsc, gdzie... gdzie mnie to coś... no wiesz, pani.

– Wiem, wiem. I po stokroć wybac, żem ja to wyznała tobie, dziecko.

– Nie jestem dzieckiem, pani. A sen twój nie jest żadną winą. Boginka to sprawić musiała. Jakieś czary jej. Pani, co to za stworzenie, dowiedzieć się trzeba.

– Tak.

Pokiwała głową w zadumie.

Jakoś nie potrafiła przybrać starczej maski i zasłonić się nią, jak zwykle to czyniła. Wrócili z Wilkiem do chaty, chłopak rozpałił ogień, odgrzał zupę. Wiedźmę wzruszyło, że głodny czekał cały dzień na zjedzenie stawy tylko dlatego, że trwał przy niej. Ale zaraz potem skarciła siebie tak potwornie za jakiegokolwiek przybieranie sobie do głowy myśli o jego sympatii do staruchy, że aż znów świeczki stanęły jej w oczach.

– Pani, zmieniłaś się – spostrzegł. – Zupełnieś odmieniona.

Odłożyła misę po zupie.

– Pysznieś to uwarzył – pochwaliła.

– Coś złęgom uczynił? – Zatrośczył się.

Zaprzeczyła gestem.

– Wilko, proszę, nagrzej mi wody – zmieniała temat. – Tak bym się chętnie okąpała.

Skinął. Podumał jeszcze trochę, próbując przejrzeć oblicze swej pani. Ale wyraźnie nie miała ochoty na rozmowę i drążenie czegokolwiek. Jedyne, co mógł zrobić, to spełnić jej prośbę. Tak też uczynił. I po niedługim czasie za przepierzeniem parowała ciepła woda w balii, a chłopak dyskretnie siadł przy palenisku, tyłem do naszykowanej kąpieli.

Olcha zdjęła szaty, pozwalając wyjątkowo dłużej niż zwykle by leżały u jej stóp. Dawno przywykła do starczego ciała i pogodziła się z tym, że zdawało jej się brzydkie. Tym razem zatęskniła za tamtym, które ledwo pamiętała, za młodym. Nigdy go nie doceniała w tamtym czasie, jakże odległym. Łoła je w myślach za bezpłodność, karciała za kształt kolan czy stóp. Ale teraz, tego okropnego dnia, po tej potwornej nocy, po koszmarnej śnie o młodzieńcu, którego na dodatek znała i kochała tylko sercem... Teraz chciało jej się wyć z żałoby po skradzionej młodości. Nie potrafiła polubić zwisającej skóry, klekoczących stawów, owłosienia, przez które więcej przypominała strzygę niż istotę ludzką. Wiele by dała, by polubić to wszystko choć trochę. By to pokochać.

Szmer od strony Wilka pospieszył ją. W panice weszła do balii, zanurzając się w rozkosznym gorącu.

Otuliła swe ramiona, zakrywając płaskie, pomarszczone piersi. Podkuliła kolana, czując ciepło wody w kroczu.

Żyła w tym cieple, bo nie miała innego. Przyzwyczyła się. Ale nie darowała, że zdradziło ją tym snem. Nie potrafiła być wiedźmą ani skrywać się za starością. Była dla samej siebie odarta z wszelkich osłon i potwornie słaba.

Rozpłakała się ze strachu.

I zerwała się w następnej chwili. Wystraszony Wilko znalazł się przy balii, kucnąwszy w zatroskaniu.

– A ten co? – Chciała się zakryć starczą maską, nie mając niczego innego. Skapitulowała, a on w porę odwrócił wzrok. – Nic mi nie jest. A jeśli jeszcze raz spytasz o cokolwiek, zleję cię starym kapciem w łeb.

– Ummm. – Miotał się, nie zamierzając jednak odpuścić. Ostatecznie usiadł na taborecie, tyłem do pani, ale blisko. – Zatem – podjął odważnie – jesteś, pani, wściekła za koszmar o mnie, tak?

Nie dowierzała. Ale jego ton ośmielił i ją.

– Koszmar? – prychnęła. – Też wymyślił. Koszmar to byś miał, jakbym ja przyśniła się tobie!

– Młoda czy stara?

– Stara, brzdącu ty! W młodości to ja byłam ładna że ho ho! Ani byś nie zwlekał chwili!

– Z czym bym nie zwlekał?

Zmięta przekleństwo. Skutecznie odeszły jej smutki.

– Zatem płaczesz po młodości, pani, tak? – Złagodniał.

– No wielki śledczy się znalazł – zamruczała.

Chwilę siedział na taborecie, milcząc. Miała wrażenie, że śmiał się cicho. A przynajmniej tłumił śmiech.

– Ładnaś była, pani, rzeczesz? – podjął wyraźnie już na zaczepkę.

– Nie widać? Ślepyś na ślady dawnej urody?

– A gdzieżby? Toż poznałem, że piersi takie obwisłe, bo dawniej duże być musiały. Włosy z upodobania długie, widać kiedyś bujne i także noszone. Starej skóry fałdy nie tak duże, zatem żeś, pani, puchną nie była, a pewnie zgrabną. Talię nadal dostrzegam, choć w koślawości na pierwszy rzut się nie wybija. Twarz szczupła, kształtna, mimo lat. Niejedna, pani, w twym wieku chciałaby tak wyglądać.

Skończył. W izbie wciąż brzmiały jego słowa, mówione całkiem delikatnym, nieprześmiewczym tonem.

Cisza trwała długo i wprowadzała spokój.

– Wilko... – Głos Olchy brzmiał teraz wyjątkowo kobieco, niemal nie starczo. – To, co zaszło w tym dziwnym śnie, było moje.

Wyraźnie zastygł, wciąż odwrócony plecami.

– Wiem – mówiła – że wolałbyś winić za to Boginkę czy inne stwory, nawet czary. I pewnie po części są winne. Ale ja wiem, że to coś wyszło ze mnie, z dawnej kobiety, którą w jakiś sposób jestem, pod maską starości. I wybaczyć, że tak jest i że musiałeś poznać tę prawdę. Zapewniam cię, że nic... że uczynię wszystko, byś... nie musiał czuć tego na każdym kroku.

Odwracał się w jej stronę, najpierw niepewnie. A gdy nie protestowała, odetchnął nieco i usiadł, całkiem zwracając się w stronę balii. Był zmartwiony, a jeszcze bardziej zakłopotany.

– Ta maska starości jest ci niepotrzebna, pani – przemówił cicho. – Przecież ja wiem, jaka jesteś.

– Jaka jestem?

– Tak.

– To... jaka?

Zbierał myśli w słowa.

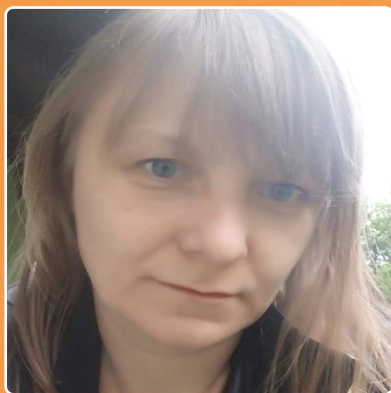
– Pani – podjął wreszcie – jesteś dziewczyną, której przed wiekami zabrano młodość. Jesteś Olchą.

Olchą z Wilczej Doliny.

Skostniała twarz staruchy zdawała się topnieć.

– Serduszek ty moje – wyszeptwała wzruszona.

– A ty moje, pani – odpowiedział.



Agata Kasiak – autorka powieści *Baśń o Wilczej Dolinie*, *Wiedźma z Bronańczowa*, *Radosna Nowina* i *Mogiłka*.

Roszczenia

Aleksandra Gawlińska

Pochyl głowę na poduszkę
Nad krawędzią wystaw nóżkę
Ciepły kocyk wypuść z dłoni
Nic już Ciebie nie obroni

Otwórz okno i zgaś światło
Zamknij drzwi, nie wołaj „mamo!”
Nie ma się już nad czym głowić
Nigdzie nie da się już schronić

Pochyl głowę na poduszkę
Nad krawędzią wystaw nóżkę
Wnet dosięgną Cię me szpony
Wnet zacznijmy swoje łowy

Zaproś nas i wpuść do środka
Nic dobrego Cię nie spotka
Nie uciekniesz w sen pogodny
Kiedy naszych roszczeń modły



Aleksandra Gawlińska – od lat związana z fandomem fantastyki, należąca do klubu Elgalh'ai w Płocku, miłośniczka muzyki i kina amerykańskiego, stawiająca pierwsze kroki autorskie.

Pies

R.A. Olek

Czarny pies. Idzie za nami już od opuszczonego hotelu. Pierwszy raz wydawało mi się, że go widzę, kiedy ciemny cień przemknął bezgłośnie w czeluściach pustych okien. Wielki czarny łeb pojawił się na krótką chwilę w wejściu zarośniętym bluszczem. Podest, schody z dwóch stron, resztki balustrad przywołują dawną chwałę tego miejsca. Teraz hotel świeci pustką, pożerany przez pnącza, zarośnięty drzewami, których gałęzie wystają przez dziurawy dach.

Kiedyś pewnie były tu luksusy i bale. Zapewne bogacze i oficjele państwa, które już dawno nie istnieje, przyjeżdżali tu na polowania, wędkarskie wyprawy, wędrowniki po górach, eksploracje jaskiń. Przestali, gdy tylko okazało się, że ten kraj istniał wyłącznie w wyobraźni. Rozpadło się wszystko – rząd, drogi, urzędy, hotele. Nawet flagę podarto i nazwę zapomniano. Został pies. Dlaczego? A może go w ogóle nie ma? Przywidział mi się, jak Jugosławia?

Idziemy wyżej, w kierunku starej elektrowni wodnej. Miejscowi mówili, że szlak prowadzi tamtędy. Strumień szumi i huczy, drąży góry, przedziera się przez nie, rozbija na kamienie, żwir i piach. On nie ma wątpliwości. Przecież jest tu od zawsze i będzie potem. Woda zawsze spływa z gór w dół, do jeziora.

Jest elektrownia. Otwarta brama, wytarte tabliczki z groźnymi błyskawicami, napisy cyrylicą. Masywne budynki zamknięte na cztery spusty, szyby w oknach powybijane, ale całość wygląda, jakby wszystko działało, samoistnie. Ze środka dobiega warkot rzeki złapanej w turbiny i mielonej na prąd. Woda srebrnobiałym

bałwanem zamkniętym w betonowy kanał wlatuje od góry i uwalnia się z maszynerii gdzieś pod ziemią, łącząc się z głównym nurtem. Na zewnątrz, na betonowych straszdyłach lśnią izolatory oplecione drutami. Stupy połączone linami ciągną się od szczytu góry w dół, ku wiosce i dalej. Wyglądają jak wielkie rakiety gotowe do startu. Żeby je uwolnić, pozwolić oderwać się od Ziemi, wystarczy tylko przeciąć liny.

Pies macha ogonem. Znajome miejsce? Poczul się u siebie? A może go nie ma? Odwracam się. Budynki zostają za plecami, pożerane przez zieleń zarastającą ścieżkę. Gorąco, jakieś trzydzieści parę stopni. Gdzieś blisko potok szumi obietnicą chłodu, powiew porusza liście, ale wilgoć zatrzymuje się tam, bliżej nurtu. Ścieżka prowadzi niżej, między kamienie, ale jest zbyt stromo, żeby wejść do wody. Łeb psa miga między drzewami. Przemyka jak cień, wspomnienie czegoś niedostrzegalnego.

Idziemy dalej, wyżej. Wdrapujemy się po stromej ścieżce aż do betonowej konstrukcji ledwo widocznej zza gęstych krzaków jeżyn. Pot płynie po plecach, stopy ślizgają się po gliniastym miejscami zboczu. W koronach drzew piszczą cykady – wściekłe, że ktoś zmącił spokój ich górskiej samotni.

Docieramy do ściany, podciągamy się. Za murem niespodzianka – betonowy akwedukt prowadzi rwącą wstążkę perlistego nurtu. Wchodzimy po kolana, woda jest lodowata jak oddech góry. Słyszę chłeptanie za plecami? Odwracam się. Nie ma go. Tylko ogon znikający w zaroślach po drugiej stronie i krople, które opadły na ziemię. Zniknął.

Widzę tylko hipnotyzującą strugę, jak wypływa z niskiej, łaskotanej odbłaskami światła jaskini. Idę nią w górę nurtu. Lód pęta nogi, wdziera się w łydki i uda, paraliżuje stopy do granicy bólu. Idę szybciej. Nie czuję, jak zahaczam stopą o ostry głaz. Piecze tylko przez chwilę, nie zwracam uwagi. Na drugim końcu

akwedukt prowadzi do przepustu i tamy zawałonej drzewami. Za nią łśni lazurowe jeziorko ocienione głązami, otulone gałęziami drzew, głaskane ogromnymi liśćmi łopianu i paproci. Brzeg pachnie miętą i kwiatami, bzyaczy, tętni, buzuje, kręci w głowie.

Pies czeka na drugim brzegu. Dyszy otwartym pyskiem, jakby się śmiał. Zaprasza. Brodę przez płytki staw, on radośnie macha ogonem, pokazuje drogę. Biegnę za nim w górę, do jaskini. Skaczę po kamieniach, wdrapuję się na głązy. Stopa piecze i widzę, że krwawi. Pewnie zraniłem się wtedy, w wodzie, to nic takiego. Krew skapuje lepką czerwienią na gorące kamienie, wsiąka w nie, zostawia ślad. Kręci mi się w głowie, coraz bardziej, ale pies gna przed siebie, coraz wyżej, więc biegnę za nim. Nie oglądamy się za siebie.

Jest jaskinia – z bliska ciemna, wielka, złowroga i zimna. Zawalona gigantycznymi głązami, jakby dopiero wczoraj rozrzucił je tu baśniowy olbrzym albo ogromny jaszczur, którego grzbiet naznaczył sklepienie kolczastymi żłobieniami.

Dyszę i patrzę na psa. Spogląda na mnie i szczeka, pierwszy raz, na powitanie. Ma mądre oczy, głębokie jak otchłań czasu. Odwraca łeb w kierunku światła migoczącego w głębi pieczary. Widzę ognisko, mundury, kożuchy, karabiny. Na głowach furazerki z czerwoną gwiazdą. Ludzie śmieją się, gadają, ktoś gwizdże na psa. Podbiega i kładzie się przy ogniu, ktoś go klepie po łbie. Ktoś inny macha do mnie ręką, zaprasza do kręgu. Nalewają bimbru, intonują partyzancką melodię, harmonia nadaje ton. Pijemy, śpiewamy, palimy skręcane papierosy. Wdychamy dym i wilgoć starych liści, płyną opowieści. Głowa mi się kiwa, pies kładzie łeb na moich kolanach, wreszcie zasypiam.

– E!

Otwieram oczy. Facet z plecakiem potrząsa moim ramieniem, podaje wodę. Budzę się, biorę łyk.

– Alright?

– Okej, okej. I go – wskazuję na wyjście.

Rozglądam się, psa nie ma. Między kamieniami, gdzie przysnąłem, czerni się wspomnienie dawnych ognisk. Na ścianie napis, wytarty i niewyraźny. Data – 1944 – i ledwo widoczna gwiazda, kiedyś czerwona, dziś wyblakła, ruda, obdrapana i sparszywiała. Ostatnie wspomnienie snu o kraju z marzeń.

Wychodzę z jaskini – chłód ucięty jak nożem i znów jestem w piekarniku. Słońce oślepia, z daleka słychać szum strumienia i odgłosy cykad. Przechodzę uskok, za głazami wracam na ścieżkę.

– Długo cię nie było...

– Chyba zasłałem w środku, przepraszam.

– Wołałiśmy i wołałiśmy. Dobrze, że ten facet się pojawił. Chcesz wody?

– Yhm. – Spływa przez przełęk, lodowato zimna i czysta jak oddech ducha gór, który toczy ją od stuleci strumieniem w cieniu jaskini.

– Już dobrze, wracajmy.

W dół jest prościej. Ścieżką przez las mijamy zabudowania elektrowni, docieramy do starego hotelu, wsiadamy do auta, jedziemy. Mijamy Stary Most, gdzie łodzie zaglądają w głąb toni. Za parę kilometrów rzeka rozleje się w jezioro, w którym góry będą się przeglądać zielonymi szczytami.

Za mostem mijamy obdrapany pomnik. Obelisk sięgający szpicem nieba, wskazujący nielicznym kierunek na jaskinię

ukrytą w sercu góry. Bo bokach statuy rzędy tablic szepczą niekończącą się litanię imion i nazwisk. Lista bojowników o kraj ze snów. Wymarzony, wywalczony, upadły, zapomniany.

– Zatrzymamy się? To chyba ważne miejsce pamięci. Może się czegoś dowiemy?

– Nie. Wszystko już wiem.

Czarny pies siedzi u stóp pomnika. W zachodzącym słońcu partyzanci salutują dumnie, czerwone gwiazdy lśnią na czapkach.

Sen o kraju marzeń dawno porwała rzeka. Rozpłynął się w toni jeziora. Tylko duch czarnego psa w upalne dni wychodzi z opuszczonych ruin i snuje się po górach, szukając wspomnień.

Rijeka Crnojevica 05.08.2022



R.A. (Radosław Aleksander) Olek – obserwuje i opisuje ludzi, światy, czasy. Ma sentyment do gór, plaż, wędrówek i historii – tych prawdziwych i fantastycznych. Pisze kilka powieści naraz, bijąc się z myślami, którą skończyć najpierw.

Tarot

Marta Kopacz

Pierwszego razu nie pamiętam. Nic nie widziałam, ani nic nie czułam. Potem też było podobnie, beczuciowo, bezobjawowo, beznijako. Dzień, noc, potem kolejny dzień i jeszcze następna noc. W miarę upływu czasu dni się wydłużały, noce znikały w mgnieniu zamkniętych oczu, a ja w pewnym momencie zauważyłam, że nie jest tak, jak było do tej pory. Zaczęło być mi źle. Nie, po prostu inaczej.

– Dobrze wszystko? – zapytałeś, a ja nie rozumiałam dlaczego. Co może cię to obchodzić, przecież byliśmy tylko na kilku randkach, nic poważnego. Nie zdążyłeś mnie nawet przelecieć, to znaczy ja jeszcze nie podjęłam decyzji, kiedy ci na to pozwolę, drogi Janku.

– Czemu pytasz? – odpowiedziałam pytaniem na twoje, bo zawsze byłam uczona, żeby tak nie robić.

Dolałeś mi wina do wielkiego kieliszka, potem sobie. Zanim odstawiłeś butelkę na ciemnym obrusie, spojrzawsz na mnie zbyt zagadkowo, a ja przecież przy zagadkach ciągle się gubię. Nie powinieneś tak na mnie patrzeć, nigdy.

– Mogę przyjąć zamówienie? – zapytał ciemnowłosy kelner, na ciebie nawet nie patrząc. Ciemność pomalowała nie tylko jego włosy, ale także oprawę oczu, musnęła skórę i osiadła na ustach. Z oczu promieniowała z wyjątkową siłą, a mnie zaczęło to przedstawienie niepokojąco bawić.

– Może pan – odpowiedziałam i wyszłam z sali. Taksówka kosztowała tej nocy więcej niż zazwyczaj.

Było późno, kiedy dotarłam do domu. Nie mogłam znaleźć klucza, grzebałam w torebce jak stara i ślepa kura w zasranej ptasimi odchodami ziemi. Moja dłoń coraz bardziej tonęła w torebce, krztusiła się syfem w niej panującym, coś przykleiło się do serdecznego

palca i ciągnęło go jeszcze głębiej, tak, że głębiej się już nie dało. Coś ugryzło mnie w nadgarstek i uszczypnęło w okolicy kciuka. Drzwi do domu były ciemne, jakby ktoś wylał na nie wytrawne wino, pomazał brudną ziemią, a potem wysuszył – na mat.

Nad wejściem wisiała lampa, jednak od pewnego czasu żarówki w niej pękały jak sparciate prezerwatywy i front domu systematycznie tonął w wieczornych ciemnościach. Z żarówkami nie nadążałam i dałam sobie spokój. W sumie to było mi wszystko jedno, czy lampa świeci, czy nie. Od jakiegoś czasu było mi po prostu ogólnie wszystko jedno.

Kątem oka spjrzałam na okno po prawej stronie drzwi wejściowych. Coś mignęło albo może mi się tak jedynie wydawało. Dobre wino robi swoje, a dwa dobre wina jeszcze bardziej. W końcu znalazłam klucz. Przekręciłam drzwi w zamku i chwyciłam za klamkę. Oparzyła mnie w dłoń, zaśmierdziało wędzonym mięsem. Odskokczyłam w pijanym stylu i spjrzałam na oparzoną dłoń. Potem na drugą. Niczym się nie różniły. Weszłam do domu i poszłam prosto do sypialni.

Pokój pachniał lepkiem ciepłem. Nie podobał mi się ten zapach. Przypominał postosunkową namiętność, która jeszcze nie zdążyła wyparować przez pory w ścianach i suficie. A w tym pokoju namiętności już dawno nie było przecież, więc skąd ten smród? Ciężkie zasłony wlewały się na okno, przez które do pokoju wdzierała się ciemność. Ktoś zastukał obcasami po chodniku, jakiś pies szczeknął ze dwa razy, może chciał już wracać do domu. Zapaliłam lampkę i zaczęłam zrzucać z siebie ciuchy, jedną rzecz po drugiej, powoli, niespiesznie. Nikt na mnie dzisiaj przecież nie czekał, moje łóżko przestało już wyć z samotności. Zmęczona rozbiieraniem dnia na części pierwsze, uwolniłam swoje ciało od ostatniego elementu garderoby i pokryłam się satynową lekkością kołdry. Zapadłam w półseny świat i znowu poczułam twoją obecność. Nie chciałeś dać mi spokoju. Nie miałam siły szeroko otworzyć zmysłów, wołałam zapadać się coraz głębiej w panującą w sypialni ciemność i nadzieję na dobry sen. Wiedziałam, że stoisz obok, mogłabym wskazać dokładne miejsce, w którym byłeś, lewitowałeś, bawiłeś się moim oddechem. I tak

chyba całą noc. Nad ranem wzięłaś jeden głęboki wdech, pozbawiając mnie mojego. I dalszego snu również. Obudziłam się w momencie, kiedy, kradnąc tlen z moich tkanek, wciągnęłaś mnie do pozycji siedzącej. Otworzyłam oczy i z paniką tonącego zaczęłam łapać resztki powietrza. Bezczelnie i nie wiadomo kiedy przygarnęłaś sobie moją nocną wolę, moje nocne jestestwo.

Rano okazało się, że nawet nie zmyłam makijażu. Zmęczona i wyzięta nocnym męczeństwem patrzyłam na swoje odbicie w lustrze i pierwszy raz odmówiłam sobie porannego uśmiechu. W zamian podarowałam sobie grymas obrzydzenia i weszłam pod prysznic. O kawie zapomniałam.

– Co się z tobą wczoraj stało? Odbiło ci? – Zamiast potocznie przyjętego dzień dobry dostałam na to owe dzień dobry poranny opierdół, jakby to miało w czymkolwiek pomóc. – Dlaczego wyszłaś? I dlaczego do cholery nie odbierałaś? Widziałaś, ile wiadomości ci wysłałem?!

Byłeś wkurzony, a ja nawet przez chwilę nie wzruszyłam się twoim stanem emocjonalnym. Z jakiegoś powodu było mi prawie wszystko jedno i przez tę rosnącą obojętność patrzyłam na twoje ciało.

– Źle wyglądasz – dodałaś na zakończenie porannej wymiany zdań. A raczej lawiny twoich i braku moich.

Miałaś rację, konkursu piękności dzisiaj zdecydowanie bym nie wygrała. Ale na tym też mi nie zależało. Chciałam, żeby ten dzień minął w miarę bezboleśnie i bez większych dramatów. Na skupienie nie miałam siły, na jakiegokolwiek interakcje żadnej ochoty. Najlepiej żeby świat się ode mnie odpieprzył na czas bliżej nieokreślony. Szef z ojcowską czułością zasugerował wizytę u lekarza. Wychodząc z biura, spojrzałam w twoją stronę – wyglądałaś na przejętego, ale urażona duma nie pozwoliła ci na jakikolwiek dialog. Ja też nie miałam ochoty, choć wiedziałam, że wystarczy jedno słowo i stałaby się wola moja. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Wróciłam do domu jeszcze bardziej zmęczona niż wczoraj, i jeszcze bardziej niż przedwczoraj. I pomyślałaby kto, że tydzień temu prawie

zdrapywałam się z podłogi, myśląc, że gorzej już być nie może. Zmywając makijaż, zauważyłam, że zapadła szarość pod moimi oczami nabiera głębokości, nie mylić z głębią. Piaszczystość na twarzy zaczynała przypominać kolor popiołu pozostającego po wypaleniu całej paczki cameli.

– Wyglądasz jak gównno – usłyszałam w swojej głowie, a może nawet wypowiedziałam te słowa na głos?

Poszłam do sypialni z zamiarem zaaplikowania sobie uzdrawiającej dawki snu. Ty miałeś na tę noc inne plany.

To było gdzieś około 3:00. O tej godzinie organizm człowieka oczyszcza się z toksyn. Budzi się wtedy wątroba, odpowiedzialna za ów proces oczyszczenia. To wtedy wielu ludzi wybudza się ze snu i wybiera w pielgrzymkę do domowego wuce. Jagoda, moja przyjaciółka o siedmiu zmysłach ma na to zupełnie inną teorię. Wspiera ją w niej ulubiona ciotka Klara i siostra ciotki a matka Jagody – Helena. Wierzą we trzy, że o tej godzinie spotykają się dwa światy i próbują ingerować w zastygłą rzeczywistość. I jak jesteś słaby, to masz przechlapane, bo jesteś dla nich pożywką i takie tam. Każdy może wierzyć w to, co chce albo w to, co mu każą. Ja zawsze wybierałam wolność i nieskrępowanie w obieraniu swojego kierunku jazdy i mocno jeżyłam się na najcichsze nawet wspomnienie słowa „nakaz”. To prawda, sikać zawsze mi się chciało o 3:00, ale to wcale nie znaczyło, że w momencie dźwięcznego upuszczenia moczu na biel szorowanego regularnie klozetu przekręcałam klucz w tajemniczych wrotach. I takiego podejścia broniłam przed Jagodzianką i jej żeńską częścią rodziny.

Tej nocy godzina 3:00 zastała mnie w pozycji siedzącej, z nienaturalnie wykręconymi rękami. Odsuniętą do tyłu głowę z trudem sprowadziłam z powrotem do pionu. Moje nogi były szeroko rozsunięte, na prześcieradle zauważyłam ciemną plamę. Z trudem doszłam do łazienki, jeszcze większym wyzwaniem okazało się zachowanie spokoju po tym, jak zobaczyłam swoje odbicie w lustrze. Wyglądałam, jakby ktoś podczas snu pozbawił mnie wszystkich czerwonych krwinek. Serce waliło mi jak głuchy dzwon, który musi oznajmić światu

bardzo ważną informację, od której zależy o wiele więcej niż dużo. Na szyi poczułam delikatne muśnięcie powietrza pomieszanego z ledwie wyczuwalną dawką elektryczności. A potem zamknęłam drzwi do łazienki, usiadłam na brzegu wanny i obserwowałam jak ledwie zauważalny cień przemieszcza się za drzwiami. W lewo, potem w prawo i z powrotem. Ze strachem nieporównywalnym do niczego co ludzkie wstałam, szarpnęłam za klamkę i otworzyłam szeroko drzwi. Zupełnie nie wiedząc, czego się spodziewać, stałam zamrożona paraliżem strachu. A potem dostałam głuchą ciszą po zmęczonej twarzy. Droga do sypialni jeszcze nigdy nie była tak trudna. Wydawało mi się, że walczę z oporem, siłą, która chce mnie zatrzymać tam, gdzie stałam. Zaczęłam ważyć chyba dwa razy tyle co kilka godzin wcześniej, każdy krok obłany był ołowiem, moje ciało powoli również pokrywało się tym ciężkim metalem. Nie wiem, jak dotarłam do sypialni, ale wiem, że to nie ja zrzuciłam kołdrę na podłogę. Po ciemnej plamie na prześcieradle nie było śladu.

Rano obudziłam się zaszumiona. Na moją wizję otaczającej przestrzeni ktoś nałożył mleczny filtr. Świat zamazał przede mną swoje tajemnice. Zadzwoiłam do pracy, zgłaszając niedyspozycję. Powinni być mi wdzięczni za ten gest troski; wyglądałam tak żałośnie, że mój widok mógłby na długo wyryc traumatyczne emocje w korporacyjnych duszach szanownych kolegów i koleżanek „po fachu”. Umówiłam się na wizytę w przychodni i wyszłam z domu na spotkanie z diagnozą. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, był szary chodnik przy ruchliwej ulicy. A potem nastąpiła ciemność i ktoś, kto kurczowo trzymał mnie za rękę. Nie był to lekarz.

– Matko, co się stało? – Jagoda wyglądała na naprawdę przejętą. Siedziała obok szpitalnego łóżka, na którym leżałam. No właśnie nie wiedziałam, co się stało. – Zemdlałaś, pamiętasz? Głupie pytanie, wiem, nie wiem, czy ktokolwiek pamięta, jak mdleje, sama nigdy nie zemdlałam, matko, ale ty szaro wyglądasz! – trajkotała Jagodzianka, zanim do sali wszedł lekarz. Kogoś mi przypominał.

– Pani Magdo, chcielibyśmy zatrzymać panią na noc na obserwację – zwrócił się do mnie, marszcząc ciemne brwi. – Traci pani siły, a to może wskazywać na pewne nieprawidłowości w funkcjonowaniu pani młodego ciała. – Zaskoczył mnie tym „młodym ciałem”. – Chcielibyśmy to przeanalizować. Oczywiście ma pani prawo wypisać się na własną prośbę, ale... nie radziłbym. – W jego głosie było coś mocno niepokojącego, zabrzmiało groźnie. Zupełnie nie po lekarsku. – A zatem zostaje pani? – bardziej stwierdził, niż zapytał. Kiwnęłam głową, na więcej nie miałam siły. Doktor wyprężył ciało, poprawił czarny krawat i przymrużywszy z zadowoleniem oczy, opuścił salę. Czy to tylko ja widziałam ten dziwny uśmiech na jego pochmurnej twarzy?

– Magda, nic się nie martw. Wszystko będzie okej. Przywiozę ci jakieś ciuchy na zmianę. Daj mi klucze. Coś jeszcze? Chcesz jakieś pomarańcze, czy coś? No bo do szpitala to ludzie często przynoszą pomarańcze, może też chcesz? Albo banany? Chociaż nie, bo w bananach to czasem pająki się kryją, a to zły znak. Dobra, coś wymyślę. Ty tu leż i odpoczywaj. Pan doktor się tobą zajmie, widziałam, jak na ciebie patrzył. – Puściła mi oczko i zniknęła za drzwiami. Zasnąłam.

Było już ciemno, a ja czułam, że jestem jednocześnie i na jawie, i w śnie. Nie wiedziałam, gdzie bardziej. Coś nade mną stało i ordynarnie obłapiało moje ciało głodnym wzrokiem. Gapilo się i powoli, szeroko zamkniętymi ustami wciągało w siebie powietrze z mojego ciała, tak jak podczas poprzednich nocy. Stało tak i gapilo się, i powoli, z przyjemnością pozbawiało mnie drogocennej energii życiowej. Poczulałam, że

Redakcja · Skład · Korekta · E-booki PDF, Mobi, Epub

**Przygotuj całą książkę
w jednym miejscu**

www.anislowa.com.pl
kontakt@anislowa.com.pl


Ania Stojwa
ANNA ST
KOREKTA I REDAKCJA TEKSTU



mimowolnie podnoszę się do pozycji półsiedzącej, a potem siedzącej, zbliżając się do tego, który za chwilę wysie całą resztę mnie.

To coś. Tak o nim myślałam. I mimo że było bardzo blisko, nie widziałam, czym jest. Po raz pierwszy jednak objawiło się jako wielka czarna plama z rozmazanymi krawędziami. Tak rozmazanymi, że prawie ich nie było. Chciałam krzyknąć, ale wyrzucałam z siebie jedynie głuche jęki. Nagle do sali wpadła zaalarmowana odczytem maszyn mierzących moje funkcje życiowe pielęgniarka. W tym samym momencie to coś zniknęło. Zniknęłaś. Mokrą, ciemną plamę na podłodze chyba znowu widziałam tylko ja.

Poranek przywitał mnie stukotem chodaków po szpitalnej posadzce i jak na mój gust zbyt głośno wyrażaną troską o samopoczucie pacjentów przez pielęgniarki na porannym dyżurze. Z trudem otworzyłam zapadłe powieki i podciągnęłam się na cienkich jak leśne patyki rękach. Jagody nadal nie było. Próbowałam zapytać o coś krzątającą się po sali kobietę w białym kitlu, ale byłam chyba dla niej przeźroczysta. Zdałam sobie sprawę, że jestem w innej sali niż wczoraj wieczorem. Nie pamiętałam jednak mojej wewnętrz szpitalnej podróży. Może to dlatego mojej przyjaciółki jeszcze nie ma, może właśnie mnie szuka i nie może znaleźć.

Nagle do sali wszedł lekarz, niemo stukając podszewkami o jasną podłogę. Za oknem szybko schowało się słońce. „Wyjątkowo długi dyżur ma ten doktor” – pomyślałam zdziwiona jego niezmięcioną aparycją. Omiótł salę ciężkim spojrzeniem i zatrzymał je na mnie. Zdziwiłam się, że czyjeś spojrzenie może aż tyle ważyć. Przymrużył ciemne oczy, poprawił czarny krawat na oślepiająco białej koszuli i skierował się w moją stronę. Poczułam, jak moje ciało coraz mocniej wbija się w szpitalną poduszkę, zaczęło brakować mi oddechu.

– Magda! – Do sali wpadła poddenerwowana Jagoda. – Magda, jak Boga kocham! – Z trudem łączyła wydobywane z siebie słowa powiązane logiką. Wyglądała na bardzo zmęczoną. Rozejrzałam się wokół, lekarza już nie było. – Ja nie wiem jak i kiedy, ale sprowadziłaś na siebie

coś naprawdę niedobrego. – Przysunęła się bliżej i niemalże wyszeptała te słowa, jakby szept miał ochronić ją i mnie od dalszych działań tego „naprawdę niedobrego”. – Zeżarłam całe pudełko ptasiego mleczka na śniadanie, a wiesz, jak ja nie lubię słodczy! – Niemalże ze łzami w oczach podkreśliła owo poświęcenie i konieczność szybkiego nalaadowania organizmu energią. Reanimacji niemalże za pomocą słodczy. I mimo że nadal nie powiedziała, o co chodzi, ja wiedziałam.

– Tak czułam.

Jeszcze tego samego popołudnia dostałam wyniki badań, ku mojemu zdziwieniu – książkowe. Chciałam znaleźć lekarza o ciemnych oczach. Żadna z obecnych na dyżurze pielęgniarek jednak nie potrafiła mi pomóc, twierdząc, że medyka o takim opisie na ich oddziale nie ma. Poprosiłam o wypisanie ze szpitala na własną prośbę. Pełniący dyżur lekarz, nie widząc żadnych przeciwwskazań, podpisał mój wyrok na wolność. Tej nocy zostałam u Jagody. W drodze do jej mieszkania kupiliśmy jeszcze dwa opakowania ptasiego mleczka. W razie czego.

– Czy w twoim domu stało się kiedyś coś złego? No wiesz, jakieś morderstwo, jakieś tajemnicze zniknięcie? – Nabuzowana ptasim przysmakiem Jagoda strzelała pytaniami.

– Nic, o czym bym wiedziała. Wprawdzie ziemia, na której stoi mój dom to wyschnięte bagno, a wiadomo, że w tak wciągających warunkach wszystko się może zdarzyć, to oficjalnie o żadnej tragedii nigdzie nie ma wzmianki – odparłam, próbując przemycić nieco humoru do naszej rozmowy.

– To ja ci powiem. Opowiem ci, bo to, co tu masz, to bardzo zła moc. – Spojrzałam na Jagodę podnosząc lekko brwi, już sama nie wiem, czy w geście zdziwienia, czy aby ukryć coraz większy strach przed tym, co postanowiło uwić sobie ze mną gniazdko domowe, nie pytając zupełnie o zdanie. Zaczęłam się naprawdę bać. Nie wiedziałam, co robić. Od jakiegoś czasu rzeczywiście czułam, jak coś każdej nocy dosłownie wysysa ze mnie życie, przywłaszczając sobie tlen

z moich płuc, jak coś bawi się moim ciałem i ma coraz większą nad nim władzę. Czułam, ale jednocześnie odpychałam myśl, że robię się coraz słabsza, że coraz bardziej przypominam wysuszoną, popielatą kukłę. I miałam pewnego rodzaju podświadomą świadomość, że nie mieszkam w moim domu sama. Ale do kogo miałam się z czymś takim zwrócić? – Wczoraj, jak przyjechałam do twojego domu po twoje rzeczy – widziałam, że ciężko było jej mówić – to... to coś było nie tak. – Ciekawe, czy paranormalny skill Jagody uprzyjemniał jej życie? A może uznaje to za klątwę? – Najpierw nie mogłam otworzyć drzwi, a tak w ogóle to mogłabyś zmienić żarówkę nad wejściem. Czarno jak w dupie i jeszcze te ciemne drzwi. No, a potem jak już weszłam, to drzwi zatrzasnęły się z takim hukiem, że aż wrzasnęłam. Przeciąg był, bo zostawiłaś drzwi do ogrodu otwarte. Poszłam do sypialni po jakieś ciuchy. Masz tam okropny zaduch, powinnaś częściej wietrzyć. Próbowałam otworzyć okna, ale nie mogłam. A te ciemne zasłony nie chciały się odsunąć, musiały się o coś zahaczyć. Zostawiłam, bo po nocy nie chciałam porwać, jak wrócisz to sama ogarniesz. No, a potem poszłam do łazienki po twoją szczoteczkę i jakieś pachnidełko, bo wiadomo, jak to jest z prysznicem w szpitalu. Wtedy drzwi się otworzyły na całą szerokość, ale nikogo za nimi nie było. Wydawało mi się, że coś tam mi mignęło, ale niczego nie czułam, więc zwyczajnie to olałam. – Strach na dobre przejął moje ciało. Nie wierzyłam w to, co słyszę. – Potem strasznie zachciało mi się pić i poszłam do kuchni. I w drzwiach nagle pojawił się on! – Niemalże krzyknęła. – Powiedział, że to on tutaj z tobą mieszka i on się tobą opiekuje. I on decyduje, kto w twoim domu przebywa i że mam wypierdalać! Czujesz? – Zamarłam. Na mojej twarzy musiało pojawić się coś mocno niepokojącego, bo Jagoda zamilkła i złapała mnie za rękę. – Mam mówić dalej?

– Tak. Mów, mów. Lepiej, żebym wiedziała, z kim dzielę dom – odpowiedziałam z przerażeniem, jakiego w życiu jeszcze nie doświadczyłam. Jednocześnie się zastanawiałam: co ja mam z tym zrobić?

Skinęła głową, wzięła głęboki wdech i kontynuowała.

– No to, jak on mi kazał wypierdalać, to ja mu powiedziałam, że wypierdalać to może, ale on, bo ja jestem twoją przyjaciółką i nie pozwolę na to, żeby jakies nie wiadomo co przywłaszczało sobie prawo do kontroli nad tobą. To dmuchnął na mnie zimnym powietrzem i łaził potem za mną, dopóki nie skończyłam pakować twoich rzeczy. Już dawno tak u ciebie nie zmarzłam, Magda.

– Jak wyglądał? – zapytałam na wszelki wypadek, mimo że znałam odpowiedź.

– Miał czarne włosy zaczesane w lok nad czołem, czarne oczy i czarny garnitur.

– I czarny krawat, i białą koszulę? – zapytałam retorycznie.

– Widziałaś go! – przeraziła się Jagoda.

– No to, co ja mam teraz zrobić? – zwróciłam się z płaczem do przyjaciółki.

Jagoda złapała za telefon i zadzwoniła do matki. A potem do ciotki. A potem usiadła na kanapie, złapała głowę w dłonie i zaczęła się rytmicznie bujać. W przód i w tył, w przód i w tył.

– Czy dostałaś ostatnio prezent od kogoś, kto może mieć wobec ciebie złe zamiary? Ktoś, kto źle ci życzy? – zapytała.

– Nie... Chyba nie... – W myślach przeskanowałam wszystkie półki i półeczki, ale nic nie wzbudziło mojego podejrzenia.

– Dobra. To czy byłaś uczestnikiem jakiejś zabawy w duchy? Może byłaś u wróżki? Coś w ten deseń? – wyliczała dalej Jagoda.

Jęknęłam z przerażeniem i spojrzałam na Jagodę.

– Tarot! Kupiłam karty tarota! Nie wiedziałam, które wybrać, było tyle różnych zestawów – bełkotałam. – Jeden wypadł z półki wprost pod moje stopy i wrócił ze mną do domu... – westchnęłam.

– To karty wybrały ciebie, Magda. Czy ty nie wiesz, jakie potrafią być niebezpieczne? Wpisz sobie w Google i zobacz! – Podała mi laptopa.

– Nic nie ma. Zero rezultatów wyszukiwania. – Pytająco spojrzałam na nią i pokazałam jej pusty ekran komputera.

– Co?? – Wzięła do ręki swoją komórkę, wpisała to samo hasło w wyszukiwarkę i kliknęła w „szukaj”. W tym samym momencie na obu naszych ekranach pojawiły się tysiące wyników. – No to masz. – Chyba sama lekko się zdziwiła, jak szybko „blokada” na moim laptopie poddała się jej mocy.

– I co teraz? – zapytałam.

Jagoda kazała mi pożegnać się z kartami, zakopać je w pobliskim lesie i poprosić, żeby zerwały ze mną jakikolwiek kontakt. Moje pożegnanie wyglądało trochę jak rytuał pogrzebowy. Nie czułam strachu. Ogarnęło mnie jednak pewnego rodzaju wzruszenie. Jakbym wcale nie chciała się żegnać. Po powrocie do domu Jagoda czekała już z białą szalwią rozsypaną na dwóch białych talerzach i dwoma pudełkami zapalek, gotowa na rytuał odczarowania.

– Każda ściana, w przeciwną do wskazówek zegara! – przypominała co chwila.

Moja ognista szalwia ciągle gasła, nie mogłam wykrzesać z niej uzdrawiającego dymu. Aż w końcu się poddałeś. Mój dom stał się znowu tylko mój.

Wróciłam do pracy, Janek wrócił do mnie, bo słowo rzekłam i stanie się ciałem. Jednym i to już dzisiaj wieczorem. Ciemne zasłony wymieniałam na inne. Przepraszam cię za moje wielkie wyjście z restauracji. Nie byłam sobą.



Marta Kopacz – pasjonatka treści z pogranicza alternatywy i niszowych produkcji. Autorka opowiadania *I love you and hate you, wtorek w Antologii NieOCZYwistej* oraz *Cięża na kartki* w *Mikołowskim kalejdoskopie*. Poe-tycko zaistniała również w tomiku poezji *Życiem pisane... Vol.2*.

Emocje są najważniejsze – wywiad

Iza w Krainie Słowa
Joanna Mroczkowska

Mam wielką przyjemność przedstawić Państwu moją rozmowę z Joanną Mroczkowską, pisarką, której debiutancka powieść *Smak brzoskwini* jest bardzo głośnym biciem na alarm, jeśli chodzi o przyszłość klimatu i naszej planety.

Czy pokazanie konsekwencji naszych teraźniejszych decyzji w perspektywie 500 lat ma sens? Czy ostrzeżenie przez strach ma sens? Przekonajmy się, co na ten temat ma do powiedzenia sama autorka.

I. Zacznijmy od początku. Skąd pisanie w Twoim życiu?

J.M. Odkąd pamiętam, lubiłam rysować. Z czasem zaczęłam opowiadać różne historie, które miałam w głowie poprzez rysunek/komiksy. Gdy miałam 15 lat, odkryłam, że pisanie jest szybsze niż rysowanie, a jestem z natury niecierpliwym człowiekiem. I tak zaczęłam pisać opowieści, a nie je rysować.

I. Całkiem zarzuciłaś rysowanie?

J.M. Tak, czasem coś jeszcze narysuję, ale robię to raczej rzadko. Jak już sięgam

po ołówki, to szkicuję bohaterów moich historii. Od dziecka lubię anime i mangę, więc mój styl przypomina komiks japoński.

I. Można powiedzieć, że myślisz obrazami?

J.M. Z pewnością. Ze wszystkimi detalami widzę w wyobraźni sceny, o których piszę. To trochę jak oglądanie filmu.

I. Jaki jest ulubiony gatunek, po który sięgasz najczęściej?

J.M. Romans i fantastyka. Lubię też połączenie tych gatunków.

I. Mówiąc fantastyka, masz na myśli „tradycyjne” fantasy z magią, smokami, elfami itd.?

J.M. Mam na myśli i fantasy, i science fiction.

I. Pytam o fantasy, bo Twoja książka niewiele ma z nim wspólnego. To, moim zdaniem, czyste s.f. Gdzie Cię poniosło w tak trudny (dla mnie) gatunek?

J.M. Zgadzam się, że moja książka to s.f. Ten gatunek najbardziej pasował mi do tego, co chciałam opowiedzieć. Wydaje mi się jednak, że więcej w niej fikcji niż nauki.

Lubię fantasy, poznawać zupełnie inne wykreowane światy i magię. Tak samo przepadam za s.f., szczególnie tym futurystycznym, które ukazuje różne wizje przyszłości.

Tak przy okazji, *Smak brzoskwini* to eksperyment z s.f., który... nie miał być wydany.

I. Dlaczego?

J.M. Ponieważ pierwszy raz podeszłam do s.f. i nie wiedziałam, jak to wyjdzie. Nie jest to pierwsza powieść, którą napisałam w ogóle. Moja szuflada zawiera jeszcze inne, i ta książka również miała w niej wylądować.

I. Kto przekonał Cię, żeby jednak wydać *Smak brzoskwini*?

J.M. Osoby, które poznałam w czasie kursu korekty tekstu. Te same, które przygotowały moją książkę do publikacji. Jestem im za to bardzo wdzięczna.

I. Wizja przyszłości w *Smaku brzoskwini* jest raczej mało optymistyczna.

J.M. I tak właśnie miało być. Jestem przekonana, że świat zmierza w kierunku katastrofy klimatycznej.

I. Zostajesz zahibernowana na 500 lat, budzisz się i jeśli nie masz pełnych spodni strachu, to nie jesteś normalna. Twoja książka opisuje to idealnie.

J.M. Mam taką nadzieję. „Strach ma wielkie oczy” oznacza, że zagrożenie jest tylko pozorne, czyli niepotrzebnie się czegoś boimy. A ja chciałam, by czytelnicy naprawdę się bali. Myślę, że problemy, które zasygnalizowałam w książce, są realnymi zagrożeniami.

I. I tu zaczyna być ciekawie. Dlaczego rzuciłaś swoją bohaterkę 500 lat w przód? Od razu chciałaś pokazać, co wyniknie z naszego obecnego życia (to znaczy z nieszanowania środowiska)?

J.M. Dokładnie tak. Chciałam pokazać dwie wizje przyszłości. Tę bliższą, do której zmierzamy i którą uważam za całkiem realną, oraz tę bardziej odległą, w której mogłam poszaleć z wyobraźnią. Pierwsza miała pokazać zagrożenie i jego przyczyny, druga konsekwencje. Poza tym taki skok w czasie był mi potrzebny, aby uzasadnić to, jak bardzo Ziemia się zmieniła. Klimat nie ulega zmianie tak szybko

w rzeczywistości. Myślę, że w prawdziwym świecie potrzeba by było nawet więcej czasu niż 500 lat.

I. Twoja książka jest przerażająca zarówno ze względu na wizję świata w przyszłości, jak i z powodu tego, co spotkało główną bohaterkę. Nie byłaś dla niej łaskawa.

J.M. Wychodzę z założenia, że książka, w której bohater ma łatwo, jest nudna. Trudności, z którymi on się zмага, pomagają czytelnikowi wczuć się w jego losy, trzymać za niego kciuki lub czekać, aż wreszcie polegnie. Co kto woli. Emocje są najważniejsze.

I. Tych z pewnością nie brakuje w Twojej książce. Na szczęście Zosia nie jest słodką laleczką, tylko dziewczyną z mocnym charakterem. Ile w niej jest Ciebie?

J.M. Trudno mi ocenić, może 50 procent. Przykładowo nie jestem pedantką i nie przepadam za brzoskwiniami. Wydaje mi się, że więcej ze mnie ma jednak Igor.

Można w uproszczeniu powiedzieć, że jakieś części mnie, reprezentowane przez dwójkę tych bohaterów, walczą ze sobą, by znaleźć tę właściwą drogę, którą należy podążać.

I. Masz dużo technologii w swojej historii. Jesteś fanką technologicznych gadżetów?

J.M. Nie bardzo. Interesuję się nowinkami technologicznymi, nie mam jednak góry gadżetów w domu.

I. Wow! To jakim cudem udało Ci się napisać książkę, która naszpikowana jest technologią? Dobry research czy wsparcie eksperta?

J.M. Nie korzystałam z pomocy eksperta, ale długo robiłam research. Czytałam o różnych rzeczach. Na przykład o teoretycznych sposobach naukowców na walkę z oczyszczaniem powietrza z dwutlenku węgla, o pomysłach na stworzenie atmosfery na Marsie, o materiałach fotowoltaicznych, z których będzie można uszyć żagiel i w ten sposób ładować sprzęt w czasie rejsu, o tym, dlaczego się starzejemy i co musiałoby się wydarzyć, żeby to spowolnić. Zebrałam do kupy wszystkie nowinki, a potem wymyśliłam to, czego mi brakowało.

Podkreślam jednak, że więcej w tym mojej wyobraźni niż faktów naukowych.

I. Nie bałaś się, że fani s.f. będą wytykać Ci nieścisłości?

J.M. Nie myślałam o tym, ponieważ nie zakładałam, że wydam tę książkę. A teraz to już bez znaczenia. Nie wiem, czy fani rasowego, czystego s.f. sięgną po moją powieść, ale jeśli ktoś lubi fantastykę w ogóle, wartką akcję, napięcie, tajemnice, historie z morałem, to powinien

być usatysfakcjonowany. A przynajmniej mam taką nadzieję.

Dla mnie najważniejsze było przesłanie i to, by książka nie była nudna. Naukowa strona s.f. zeszła na drugi plan.

I. To wszystko prawda, ale w Twojej historii jest też dużo strachu. Napaść na Zosię, przebudzenie po hibernacji, obawa o to, czy uda jej się przeżyć. To bardzo trudne emocje. Czemu postawiłaś właśnie na strach i obawę?

J.M. Właśnie dlatego, że to silne emocje. Poza tym pasowały do tej historii. Trudno mi sobie wyobrazić, by po przebudzeniu z hibernacji w zupełnie innej rzeczywistości czuć coś innego niż strach i niepewność.

I. Do tego „straszysz” również nas, czytelników, wizją przyszłości.

J.M. Uznałam, że to najlepszy sposób na to, by dać im do myślenia, by potraktowali wspomniany problem poważnie, by myśleli o tym jeszcze przez chwilę po lekturze.

Oczywiście nie mam złudzeń, że moja książka zmieni świat, ale mimo to chciałam zwrócić uwagę na kwestię, która dotyczy nas wszystkich, a o której nie myślimy, gnając przed życie, pracując i zmagając się z codziennymi wyzwaniami.

Dlaczego? Bo pewnego dnia, kiedy pożar spali nasz dom albo zachorujemy z powodu zanieczyszczeń w powietrzu,

ten problem, który uważamy teraz za mniej ważny, wróci. Tylko wtedy będzie już za późno.

I. Jesteś wojującą ekolożką?

J.M. Nie jestem aktywistką, ale całym sercem popieram zmagania ekologów. Kocham przyrodę i nie mogę patrzeć na to, jak wycinają drzewa, zatruwają rzeki, zaśmiecają lasy itd.

I. Cieszę się, że myślimy podobnie.

J.M. Można powiedzieć, że ta książka to mój głos w tej sprawie.

I. Myślisz, że pokazując przerażającą wizję naszych dzisiejszych decyzji, można coś zmienić?

J.M. Myślę, że nie. To o wiele za mało, ale od czegoś trzeba zacząć. Im więcej ludzi będzie świadomych, dokąd zmierzamy, tym wyższe prawdopodobieństwo, że będą mądrzej wybierać przedstawicieli władz, a w życiu prywatnym może dwa razy się zastanowią, zanim np. zetną drzewa pod domem, by zrobić miejsce na parking.

Jestem zdania, że warto o tym ciągle mówić.

I. Nad czym teraz pracujesz? To będzie również historia pełna strachu?

J.M. Nie, kolejna książka to zupełnie inna bajka. Piszę aktualnie romans osadzony w realiach „tanecznych” (taniec to moja pasja). Emocje będą tu zupełnie inne. Poruszę w niej ważny problem społeczny, który bezpośrednio mnie dotyczy. Z pewnością ta powieść nie będzie straszyc, ale mam nadzieję, że również da do myślenia czytelnikom. Sądzę, że książki powinny bawić i uczyć.

I. Masz w sobie misję uświadamiania ludzi?

J.M. Być może, nigdy się nad tym nie zastanawiałam.



Iza w Krainie Słowa – od dziecka robi wszystko po swojemu, nawet ukochane bajki przerabiała, kiedy nie podobało jej się to, co wymyślił autor. Kocha koty, książki i kawę. Uwielbia przeprowadzać wywiady z autorami.



Joanna Mroczkowska – zawodowo korektorka tekstów i graficzka DTP. Prywatnie pasjonatka pisania i tańca, miłośniczka natury, kotów i herbaty earl grey. W tym roku wydała swoją pierwszą książkę s.f. – *Smak brzoskwini*.

Komu w drogę...

Stella M. Sit

– Nie zostawiaj mnie.

– Wtedy niczego się nie nauczysz.

– Obiecałeś!

Wzdycham i patrzę w niebo. Idzie burza. Nie możemy tego dłużej przeciągać.

– Ufasz mi? – pytam. Kiwa głową, ale jakoś bez przekonania. – Będę niedaleko.

– Jeśli coś mi się stanie...

– Kaśka, proszę cię! Nic ci nie będzie. Zobaczysz, kiedyś będziesz się z tego śmiać.

– Obiecałeś, że mnie nie puścisz.

– Dużo rzeczy obiecałem, a akurat tego jednego się czepiłaś. – Znowu wzdycham. Pierwsza kropla spada mi na rękę. Niebo całkiem już zaszło chmurami. – Dobra, koniec. Jesteś gotowa.

Zanim zdąży zaprotestować, popycham ją.

Mój ojciec często mawiał, że nauka jazdy na rowerze niekiedy wymaga drastycznych metod.



Stella M. Sit – retuszerka, graczką i twórczyni larpów. Wielbicielka kotów i kolekcjonerka książek.

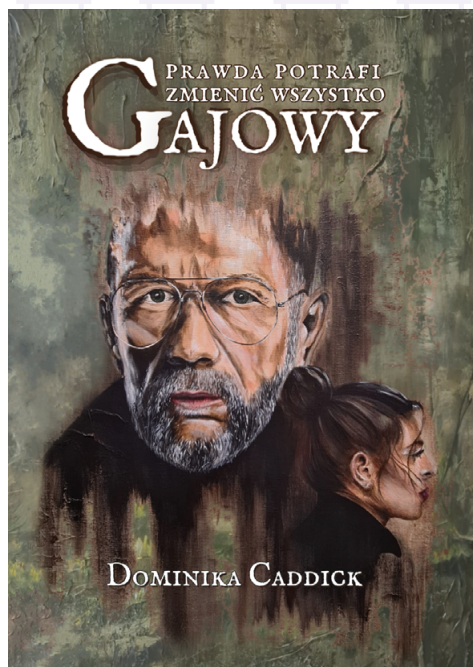
Tego się nie spodziewałam... – recenzja *Gajowy* Dominiki Caddick

Karolina Nizioł-Raczkiewicz

Czasem, gdy siadam do czytania książki, muszę mieć klimat. Świeżka, gorąca herbata i mięciutki koc. To mój zestaw doskonały, takiej typowej jesieniary. Dlatego kiedy wzięłam do ręki książkę Dominiki Caddick zatytułowaną *Gajowy*, nauczona doświadczeniem zastanawiałam się nad paczką chusteczek. Czy ta kobieta znów spowoduje, że moje serce połamie się na tysiąc kawałeczków? Dopelnieniem chwili była muzyka puszczone w tle, a przede wszystkim piosenka stworzona specjalnie do promocji książki pod tytułem *Wystarczy być*, którą wykonuje KRISU.

Riley Kos po śmierci matki zgodnie z jej wolą wyrusza na spotkanie z Janem Demarczykiem. Mężczyzna jest niesamowicie ekscentrycznym pisarzem, mieszkającym z dala od ludzi i prowadzącym dość pustelniczny tryb życia. Jednak wydaje się, że Maja Kos – matka głównej bohaterki, miała plan, który obejmował tę dwójkę. Niesamowicie silna więź między

nimi kształtuje się bardzo powoli. Oczywiście, ich relacja jest okraszona wzlotami i upadkami, a my dowiadujemy się, w jaki sposób radzą sobie ze śmiercią ważnej dla nich osoby. Zaś sama Riley dostaje szansę na zdobycie kolejnych informacji o mamie, a także zrozumienie, jak istotną pracę wykonywała. Czy Riley w końcu uda



się odkryć tajemnice, które skrywała jej matka?

Wow! To był mój pierwszy komentarz, który wykrzyknęłam zaraz po przeczytaniu całości. Jeśli oczekiwaliście obyczajówki z trudnym tematem, to dostajecie jeszcze więcej. Autorka postawiła na dużo większe emocje, na więcej akcji, a przy okazji dotknęła tematów, o jakich nie spodziewamy się przeczytać, a na pewno nie w chwili, kiedy rozpoczynamy lekturę.

Świetnie ukazana jest tutaj przede wszystkim więź młodej Riley z tytułowym Gajowym. Zagłębiamy się w historię tej dwójki, mając nadzieję, że przy okazji na jaw wyjdą tajemnice mamy Riley. I tak się dzieje. Ten zwrot akcji powoduje, że jeszcze bardziej chcemy się dowiedzieć, co wydarzy się na kolejnych stronach powieści. Druga część książki jest według mnie jeszcze lepsza i to było niemałe zaskoczenie. Wciąż się zastanawiam, jak ja bym się zachowała w takiej sytuacji, a jak świetnie sobie poradziła z nią główna bohaterka.

To książka inna niż wszystkie. Według mnie pasuje do tak wielu gatunków, że każdy spokojnie znalazłby coś dla siebie. Dominika Caddick postarała się, żeby każdy czytelnik mógł odnaleźć swoją część, żeby mógł do tej książki wracać. A przede wszystkim, sprawiła, że czytelnik pragnie się

dowiedzieć, w jaki sposób ta historia się zakończy. Czytając, mamy wrażenie, że zagłębiamy się w życie innej osoby, która niekoniecznie nas tam chce, która wolałaby spędzić ten czas sama, a jednak nie może się powstrzymać, by nam nie pokazać tego, co widzi, z czym żyje, co robi dla innych.

Autorka w jednej z rozmów stwierdziła, że bohaterowie jej książek są bardzo emocjonalni. Nie trzeba ich namawiać do jakiegokolwiek działania, po prostu działają pod wpływem impulsu, dokładnie tak jak i ona. Uważam, że to ma niesamowity urok. Bo naprawdę, to świetne podsumowanie postaci Gajowego. Ich emocjonalność, szybkość w działaniu powodują, że te postacie są autentyczne, że możemy się z nimi przynajmniej w minimalnym stopniu utożsamiać i to jest po prostu piękne.

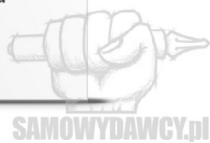
Muszę także zwrócić uwagę na to, jak świetnie wykonana jest książka. Jak bardzo dobrze się ją czyta dzięki idealnej czcionce. Co chwilę też otrzymujemy zdjęcia, dzięki którym łatwiej nam wczuć się w sytuację bohaterów i przeżywamy wydarzenia z powieści razem z nimi. Okładka, która jest przede wszystkim wizją autorki, została wykonana również w formie obrazu i to ona przedstawia nam w pełnej krasie Gajowego wraz z Riley. To już właśnie okładka podpowiada nam, że mamy do czynienia z niespotykaną historią.

Dominika Caddick naprawdę wykonała kawał dobrej roboty, dzięki której jej powieść jest po prostu wyjątkowa i wyróżnia się na polskim rynku. Promocja tej książki, a także cała praca włożona w jej produkcję są powodem, dla którego warto ją wziąć do ręki i przeczytać. Dla mnie to solidna dawka dobrej lektury. Koniecznie musicie się przekonać sami. Serdecznie polecam!



Karolina Nizioł-Raczkiewicz – za dnia adwokat walcząca z niesprawiedliwością, a nocą zatapiająca się w fotelu książkara, prowadząca konto na Instagramie @n_czyta.

Wyдай i nie oszalej
Rozmowy o self-publishingu



Letnia pieśń o górze dwóch pór roku

Katarzyna Michalewicz

Letnia pieśń o górze dwóch pór

Kakba, w języku mieszkańców Ituri oznaczała świętą górę albo miejsce, gdzie stykają się ze sobą dwa światy. Niektórzy dodawali, że był to raj utracony, z którego wygnano krnąbrną ludzkość, inni przeczyli, twierdząc, że była to siedziba bogów i demonów, do której dostęp mieli jedynie wybrańcy, a jeszcze kolejni upierali się, że potężny masyw sam w sobie jest bóstwem. Nikt jednak nie potrafił powiedzieć, jak się do niej dostać i wrócić z tej wyprawy żywym.

Powiadali jeszcze, że udało się to jednemu śmiałkowi, który wyruszył tuż po buncie gwiazd i księżyca. Nikt już nie pamiętał jego prawdziwego imienia, a zwali go jedynie „Zielarzem”. Kiedy jego towarzysze w sile wieku nagle zaczęli umierać w wyniku tajemniczej choroby, a żadne medykamenty nie były w stanie ocalić ich od spotkania z demonem Mara, wyruszył w stronę Kakba w poszukiwaniu ratunku. Według przekazów zdobył on korzeń, w którym znajdowała się cudowna woda. Ubolewano, że dla wielu chorych już było za późno. Przetrwała tylko garstka rodaków, która jednak do końca swoich dni, musiała zmagać się ze skutkami tajemniczej zarazy. Zrozpaczony heros zjadł resztki przyniesionej rośliny, po czym przemienił się w małą i znikł na zawsze...

Na słowo „owoc rzucony przez Zielarza” Pitagoras – to imię słynnego matematyka i filozofa nosił nosacz sundajski, zwinna mała o rdzawo-białym futrze, której pobratymcy mieszkają już dzisiaj tylko w rezerwach – chwycił jeden z leżących młodych liści goździkowca i dwoma

sprawnymi kęsami go pochłonął. Następnie podrapał się po swoim olbrzymim nosie, podwinął długi, smukły ogon i zaczął rozglądać się za kolejnym smakołykiem. Foma natychmiast odgadł myśli prymata i podarował mu niewielki brunatno-bursztynowy owoc.

– Niedojrzała pomarańcza dla ciebie, a soczysta dla mnie... Jak dobrze, że w tej kwestii się dogadujemy! Pitagoras spojrzął na swojego opiekuna, zjadł podarunek, po czym szybko sięgnął po drugi, znacznie smaczniejszy owoc.

– O nie przyjacielu... Po tej będziesz miał wzdęcia...

Primavera

Primavera sunęła po nieboskłonie w poszukiwaniu nowych światów. Tak jak jej patronka, miała stać się zwiastunką kiełkowania nowego życia. Jak niewielkie ziarenko, które uśpione w zimowej kosmicznej ziemi przy odpowiednich warunkach miało dać plon. Jak jedna z wielu tysięcy mrówek, przemierzała niegościnne tereny, aby dotrzeć do pierwszego celu swojej wędrówki – jednego z Galileuszowych księżyców Jowisza. Po szybkim przeładunku, udała się w dalszą podróż, we wskazanym przez pracujących tam naukowców z Human Outer Planets Exploration, zwanych potocznie „Kallistanami”, na wzór niegdysiejszej wyroczni w Delfach, która wskazywała statkom kierunek wędrówki. Oprócz praktycznych porad, jeden z nich wręczył członkom Primavery poemat, który program „AOJD” skomponował na tę okoliczność.

*Dokąd to podróżni, dokąd to tak śpieszycie,
Do jakich światów, plejad i gwiazd,
Gdzie szukać waszych potomków miast,
Zawždy domu już swego nigdy nie ujrzycie,
W oddali rozpoczniecie nowe życie,
U stóp góry załkać wam przyjdzie skrycie.*

Pitagoras widocznie się nudził, ponieważ porwał rysik Fomy, po czym zaczął się mu uważnie przyglądać. Uznał go za swoistą gałązkę,

gdyż zaczął się nim drapać. Zaskoczony Foma oderwał na chwilę wzrok od potężnego wykresu, ukazującego spiralę starożytnego matematyka Ulama. Obok niej znajdowała się równie rozległa, hologramowa mapa z zaznaczonymi gwiazdami, planetami i większymi księżycami, którą otrzymali od Kallistan. Nie zważając na małpie figle, postanowił podzielić się swoimi przemyśleniami ze swoim towarzyszem.

– Złamanie kodu liczb pierwszych, pozwalałoby odkryć rozmieszczenie planet, gdzie powstałoby życie... W końcu jedne i drugie są porzrzucane niby przypadkowo, ale w niektórych miejscach grupują się, a w innych znajdują się martwe miejsca. W przypadku ludzi można wyjaśnić to tak, że najpierw na jednej planecie, gdzie są najbardziej korzystne warunki, powstaje życie, a potem przenosi się ono na inne, nawet te mniej gościnne planety... A w przypadku liczb pierwszych, czy są w nich „Ziemię”? Liczby pierwsze, które sprawiają, że obok nich pojawiają się kolejne?

Pitagoras nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Ale porzuciwszy swoją nową zabawkę, zaczął przyglądać się pulsującym punkcikom na obu hologramach. Następnie sięgnął w ich stronę, jakby to były owoce. Zawiedziony tym, że jego ręka przeniknęła przez obraz, spojrzał zaskoczony i zawiedziony na Fomę.

– Wszechświat jako Wielkie Drzewo, a jego owocami są planety? To by oznaczało, że teraz mamy lato, a Wielki Wybuch był pierwszym dniem wiosny? A czy jak świat zacznie stygnąć, a materia przestanie się rozszerzać, to doczekamy się zimy, a potem kolejnej wiosny: Nowego Wielkiego Wybuchu?

Pitagoras nie za bardzo rozumiał wynurzenia naukowca, ale wyczuwał, że to, o czym mówi, jest dla jego przyjaciela czymś bardzo ważnym. Wydał przy tym odgłos podobny do trąbki, co w małym języku oznaczało zagrzewanie młodych do walki.

– Masz rację. Muszę pokazać analizę porównawczą spirali i mapy nawigatorowi i kapitanowi – westchnął ciężko Foma na myśl o spotkaniu ze swoim surowymi przełożonymi.

Fall

W laboratorium zgasło światło i włączył się alarm: „Fall”, oznaczający, że statek mógł się znaleźć w poważnym niebezpieczeństwie. Pitagoras szybko wskoczył na ramię naukowca, jakby czując, że tylko on może go w tej chwili obronić. Foma wraz ze swoim towarzyszem wyszedł z pomieszczenia, aby jak najszybciej sprawdzić, co się stało. A mogło wydarzyć się wiele: usterka na statku, zbliżenie się asteroidy, rój meteorytów, a nawet atak kosmitów. Ale tego ostatniego się nie spodziewał, ponieważ jak dotąd jedynymi inteligentnymi istotami w tym Układzie Słonecznym byli oni sami, czyli homo sapiens, zamieszkujący Ziemię, Marsa i kilka księżyców.

– Wracajcie do pracy, Foma! – usłyszał nagle za plecami czyjś podniesiony głos. Jak się okazało, należał on do nawigatora Armyna, jednego z wysoko postawionych członków ekspedycji. – I zabierzcie stąd tę małą! – Spojrzał z ukosa na Pitagorasa, który w międzyczasie zaczął skubać włosy swojego przyjaciela.

– Ale co się stało? – Foma nie dał się zbyć, widząc, że jego niezbyt uprzejmy i skory do wyjaśnień zwierzchnik jest czymś wyraźnie poruszony. A to był tak samo rzadki widok jak obecność nosacza sundajskiego na statku mającym znaleźć kolejną planetę do zasiedlenia. Nie mówiąc już o tym, że alarm „Fall” był jednym z najwyższych stopniem alarmów.

– Wszystko jest pod kontrolą. Statek wszedł pewnie w jakieś turbulencje, ale pilotowi udało się ustabilizować kurs – dodał już łagodniej, a nawet próbował wyciągnąć rękę do nosacza, aby go pogłaskać. Pitagoras, urażony jednak jego ostatnią uwagą, tylko wydał odgłos przypominający nieco ciche warknięcie. Tamten tylko od-

ruchowo cofnął rękę, odwrócił się i jak niepyszny szybko poszedł w stronę magazynu.

– Chodź Pitagoras, nie traćmy czasu na „pana kartografa, któremu nieobca jest żadna gafa” i wracajmy do naszej „Letniej pieśni o górze dwóch pór” – zwrócił się do przyjaciela Foma, kiedy Armyn zniknął z pola widzenia. Nie zdążył jednak zrobić kilku kroków, gdyż nagle statek ponownie się zatrząsnął i zaczął spadać.

Nuklearna Zima

Wszędzie dookoła widać było skutki potęgi myśli ludzkiej, która obróciła się przeciwko niej. Zniszczona, pokryta popiołem i sadzą ziemia, na wpół obumarłe, popalone i połamane drzewa, na stałe zasunięte jak ciemnymi kotarami zachmurzone niebo przypominały krajobrazy z niepokojących i moralizatorskich obrazów Hieronima Boscha. Las, który mógł się stać schronieniem, przypominał jedynie tylko o wydarzeniach sprzed paru tygodni: potężnej eksplozji, a następnie awarii Primavery, która na stałe została przygwożdżona do ziemi.

Tylko dzięki niebывалым umiejętnościom pilota Osmo, statek bezpiecznie wylądował u stóp wielkiej góry. Zrzędzeniem losu nikt poważnie nie ucierpiał, a wśród najpoważniej rannych znalazł się Pitagoras, który złamał sobie łapę. Foma, razem z pokładową lekarką Mari, starał się mu pomóc, ale pomimo ich usilnych starań noga źle się zrosła. Jednak jakby na przekór niepoprawnie zaleczonej kontuzji Pitagoras nie tracił pogody ducha i starał się odnaleźć w nowym świecie.

A było to nie lada wyzwanie. Zapasy jedzenia, jak i wody pitnej, kurczyły się, a jak się szybko okazało, wokół wszystko było skażone. Jakby nieszczęść było za mało, tuż po wylądowaniu, członkowie Primavery zaczęli poważnie chorować. Większość z nich cierpiała na osłabienie, znużenie oraz zawroty głowy. Kilkunastu Primaweryjczyków, gdyż tak zaczęli siebie nazywać, odczuwało dodatkowo duszności, a ich skóra przybrała niezdrowy blady kolor. Ich stan pogarszał się

z dnia na dzień. Wśród pierwszych ofiar znaleźli się dwaj nieszczęśni technicy obsługujący magazyn. Jak powiedziała Fomie Mari, która wraz z dwoma innymi lekarzami starała się ich uratować, cierpieli na bóle brzucha i silne krwiste biegunki, a tym objawom towarzyszyła wysoka gorączka i wymioty.

– Czy ta planeta jest przeklęta... – mruknął Foma, podając po cichu owoc Pitagorasowi. Małpka, jakby domyślając się, że nie należy obnosić się z jedzeniem, od razu pochwyciła go i włożyła w całości do pyszczka. Zwłaszcza, że już nieraz słyszała pomruki niezadowolenia, że na równi z innymi członkami zespołu otrzymuje skondensowane racje żywnościowe oraz leki, pomagające zahamować rozwój choroby.

– Wiesz, co to może być? – zapytała ją. Mari na chwilę się zawahała, jakby nad czymś się poważnie zastanawiała.

– Armyn zakazał mi z tobą o tym rozmawiać... Najlepiej będzie, jak jego o to spytasz, zanim choroba i jego zabierze... jego stan też się ostatnio pogorszył...

W kajucie nawigatora panował półmrok. Nic dziwnego, starano się jak najbardziej oszczędzać energię. Nikt nie wiedział, kiedy dotrze do nich pomoc, jeśli w ogóle ktoś odczyta ich sygnał. Co prawda podczas podróży Primavera na bieżąco podawała swoje współrzędne, a Kallistanie mogli wskazać ekipie ratunkowej, w którym kierunku się udali, ale i tak istniała obawa, że wysłane przed wybuchem dane mogły być zbyt niedokładne. Zwłaszcza, że im dalej statek się posuwał, tym łączność z innymi ludzkimi ośrodkami stawała się słabsza, a czasami nawet na jakiś czas zanikała. Jedyнным źródłem światła były teraz niewielkie lampki w przenośnej koi leczniczej, w której znajdował się poważnie chory gospodarz.

– Twoja teoria liczb pierwszych okazała się całkiem trafna... Znaleźliśmy planetę zdolną do zasiedlenia, ale od razu ją zniszczyliśmy...

– My?

– My, my. I tak tutaj wszyscy prędzej czy później umrzemy, więc warto, abyś przynajmniej wiedział z jakiego powodu... Foma niespokojnie spojrzał na bladą twarz nieszczęśnika, zastanawiając się, czy jego rozmówca nie majaczy. Ale Armyn, pomimo choroby, jak najbardziej zdawał sobie sprawę z wagi słów.

– Kallistanie odkryli sygnał pozaziemskiej cywilizacji i podali nam dokładne współrzędne. Według ich wyliczeń ta planeta idealnie nadawałaby się do zasiedlenia. Normalnie druga Ziemia, bez potrzeby dodatkowej terraformacji. Ten pakunek, który załadowaliśmy na ich planecie, to była broń jonowa...

– Ale po co? – wymysknęło się Fomie. Przez chwilę nie wiedział, co ma o tym myśleć. A nawet zastanawiał się, czy to on przypadkiem się nie przestęsał.

– A po co się tworzy broń?

– Do ataku i obrony... – odpowiedział. – „I podbijania innych planet” – dodał w myślach.

– Tamci musieli chyba przejrzeć nasze plany, ponieważ nasz statek nagle uległ awarii. Nie mieliśmy wyboru, musieliśmy pozbyć się jak najszybciej bomby i jak najszybciej wylądować tutaj, u stóp góry. Pewnie tutejsza cywilizacja na jej szczycie posiada swój nadajnik, który zakłócił pracę Primavery. Może uda ci się skontaktować za jego pomocą z Kallistanami...

– Naprawdę planowaliście... Przecież to miała być wyprawa naukowa, w poszukiwaniu nowych światów do zasiedlenia...

– Zakładaliśmy tylko taką ewentualność, gdyby, jakby tu powiedzieć, „kontakty poszły nie po naszej myśli” i zostalibyśmy zaatakowani...

– „Jeśli tamci potrafili odczytywać myśli homo sapiens, to nic dziwnego, że uderzyli w nasz statek...” – przemknęło przez myśl Fomie, który z niechęcią spojrzał na swojego przełożonego.

– Czyż to nie ironia losu. „Fall” oznacza zarówno „upadek” jak i „jesień”. A po naszym upadku nastąpiła nuklearna zima... – zamyślił się Armyn.

Góra lata

Pitagoras wspinał się sprawnie po na wpół umarłych drzewach, jak to od wieków czynił małpi ród. Co jakiś czas jednak zatrzymywał się, aby poczekać na podążającego za nim Fomę. Tamten, bardziej przyzwyczajony do pracy umysłowej i rozważań filozoficznych nad naturą liczb i wszechświata, znacznie wolniej pokonywał kolejne przeszkody. Po jakimś czasie sadza i brudny śnieg zaczęły ustępować coraz bardziej grafitowej nagiej skale. Także temperatura, zamiast obniżać się, wzrastała. Nagle ujrzeli mlecznobiałą mgłę. Foma zawahał się, obawiając się, że może być ona trująca. Pitagoras okazał się jednak znacznie odważniejszy albo miał mniej do stracenia, gdyż bez wahania w nią skoczył. Następnie wrócił i zachęcił Fomę, aby podążał za nim. Upłynęły kolejne sekundy, minuty, godziny. Naukowiec widział tylko ogon małpy, który stanowił jedyny drogowskaz. Wreszcie wydostali się z tej dziwnej chmury.

Nuklearna zima była już tylko wspomnieniem. Tutaj niepodzielnie panowało lato. Ich oczom ukazała się piękna równina. Ukwiecona, szmaragdowa trawa tylko zachęcała, aby położyć się na niej i odpocząć po trudach podróży. W oddali ujrzali niewielkie, owocowe drzewa, które właśnie wydawały rodzime owoce. Pitagorasowi nie trzeba było tego dwa razy pokazywać. Szybko podbiegł do jednego z nich i wspiął się na nie. Następnie wrócił do Fomy, trzymając w ręce soczyste „pomarańcze”. Przynajmniej tak je w myślach nazwał naukowiec, gdyż wspomniany podarunek przypominał mu je jak najbardziej. Pitagoras, który wziął także owoc dla siebie, od razu zaczął się zajadać, a sok skapywał mu z brody.

– Pitagoras, nie jedz tego. Cukier ci zaszkodzi i rozchorujesz się. Chciał szybko odebrać smakołyk swojemu przyjacielowi, ale nagle w umyśle usłyszał potężny odgłos góry.

– Pitagorasie Drugi powstań! Nie tylko on był w stanie w pełni pojąć sens słów góry. Jego przyjaciel nagle wyprostował się i na jego oczach zaczął się zmieniać. Najpierw niepewnie zaczął stawać jedynie

na dwóch nogach, następnie prostować się. Po chwili jego sierść zaczęła zanikać, podobnie jak ogon. Nawet charakterystyczny nos, znacznie się zmniejszył, zaczynając coraz bardziej przypominać ludzki. Źle zrosnięta tylna lewa łapa, która stała się nogą, nagle okazała się zdrowa, podobnie jak skaleczona przednia prawa łapa, a obecnie ręka. Foma przez chwilę nie wierzył własnym oczom.

– Owoc zmienił ekspresję genów i dlatego stałem się człowiekiem – wyjaśnił już ludzkim głosem. – A tak swoją drogą, masz może coś zapasowego do okrycia się...? Bez futra trochę mi zimno... Foma szybko się zreflektował i wyciągnął z plecaka termiczny koc. Po chwili jego odmieniony towarzysz siedział w zaimprovizowanym chitonie i wyjaśniał tajemnicę góry, którą na potrzeby rozmowy, ochrzcił mianem Kakba.

– Jest to samomyśląca góra, która czerpie moc z wzoru na obliczanie kolejnych liczb pierwszych. Dzięki temu może stworzyć wszystko, czego zapagnie i poruszać się pomiędzy wymiarami...

– I dlatego pewnie cofnęła się do momentu sprzed wybuchu zimy nuklearnej... – zamyślił się Foma. – A mogłaby uzdrowić naszych towarzyszy i pomóc opuścić to miejsce?

– Wystarczy, że zjedzą te owoce. Zawarty w nich sok powinien im pomóc... Ale z powrotem do domu nie będzie już tak łatwo... To co zniszczyliście, będziecie musieli najpierw sami naprawić... Ale Kakba zgodziła się dać wam schronienie i pożywienie, dopóki nie uporacie się z odbudową... Pitagoras, widząc zmartwienie Fomy, położył mu rękę na ramieniu.

– Liczba jest istotą wszystkich rzeczy, a ona mówi, że po każdej zimie nadchodzi wiosna...

Przesilenie wiosenne

Świat powoli się odradzał, a przyroda wracała do stanu pierwotnego. Primavera ponownie mogła być uznana za zalążek nowego życia. Kiedyś stanowiąca jedynie skorupę, teraz wydawała swoje

pierwsze plony. Roślinność powoli zaczęła otulać ją swoimi maczkami i wtapiać w swój krajobraz. Gdyby statek pozostał tam na jeszcze kolejne stulecia, niechybnie stałby się jednością z naturą. Klimat wrócił do pierwotnego stanu, a opady deszczu i śniegu na stałe zawitały do krajobrazu. Uprawy po raz pierwszy w tym roku zaczęły dawać wymierne plony, które mogły zaspokoić potrzeby niewielkiej społeczności. I po raz pierwszy dary Kakby stały się jedynie smacznym dodatkiem, a nie niezbędnym elementem diety, bez którego rozbitkowie nie poradziliby sobie. Wtedy też, kiedy śniegi stopniały, Primaweryjczycy na stałe opuścili górę i przenieśli się do doliny, aby na nowo odbudowywać swoją cywilizację – z dala od Ziemi, Marsa i Kallisto, u podnóży góry Kakba.



Katarzyna Michalewicz – absolwentka historii w przestrzeni publicznej i historii, doktorantka i studentka bezpieczeństwa międzynarodowego. Autorka powieści historycznej *Sekrety Żony Mandaryna*.

Historie z Wydziału do Spraw Okultyzmu, czyli o książce *Apostata* Łukasza Czarneckiego

Sylwia Gudyka

Szukacie przyjemnie napisanej lektury z dreszczykiem na długie jesienne wieczory? W takim razie mam coś idealnego dla was.

Apostata to debiutancka powieść Łukasza Czarneckiego, która została wydana nakładem wydawnictwa Insignis w 2022 roku. To wciągająca powieść utrzymana w konwencji urban fantasy z domieszką dark fantasy i kryminału. Przyjemne pióro autora i wysublimowane poczucie humoru sprawiają, że książkę czyta się z niemalą przyjemnością.

Apostata składa się z trzech opowiadań/rozdziałów i epilogu, w których skupiamy się na śledztwach Wydziału do Spraw Okultyzmu. Przyznam, że widzę w książce wiele nawiązań do innych utworów, jak chociażby do mojej ulubionej serii *Ja, inkwizytor* Jacka Piekary, z tym że Inkwizytorzy tutaj grają nieco inną rolę niż w *Apostacie*.

Ekumena, czyli wyspa lub kontynent, na której toczy się akcja powieści, przywodzi mi na myśl przełom XIX i XX wieku. Umieszczenie historii w tym właśnie okresie według mnie jest bardzo na

plus, a to dlatego, że jest to mój ulubiony okres historyczny. Przesłanek, że to właśnie ta epoka, jest wiele, wskazują na to przede wszystkim opisy infrastruktury, miasta, narzędzia, którymi się posługują postaci czy wynalazki. Co więcej, w wielu momentach, dostrzec można zmyślne łączenie magii z techniką, co sprawia, że coraz mocniej wciągamy się w wykreowany przez autora świat.

Głównym bohaterem dwóch pierwszych opowiadań – *Ofiarnicy* i *Sabat* jest kapitan Arthur Wellington, który wraz ze swoimi przyjaciółmi z wydziału i inkwizytorem Brooksem próbuje rozwikłać kolejne zagadki, by zatrzymać demony z Otchłani.

Ofiarnicy to opowiadanie, które toczy się w Dent – stolicy Republiki, gdzie dochodzi do rytualnych mordów. Zadaniem Wydziału do Spraw Okultyzmu jest wykrycie spiskowców, którzy próbują sprowadzić demona zza bram Otchłani. Sprawa jest jednak bardziej skomplikowana, niż by się wydawało. Ktoś dokładnie wie, jak pociągać za sznurki, by mylić tropy i osiągnąć swój cel. Czy kapitanowi

Wellingtonowi uda się powstrzymać ofiarników?

Sabat to z kolei historia, która dzieje się poza granicami miasta. Dust – szef wydziału wysłał młodego kapitana Wellingtona do Coen, gdzie, jak donosi tamtejszy szef policji, zaczyna się zbierać Sabat, którego celem jest zbudzenie kolejnego potężnego demona. Na szczęście Wellington nie jest sam. W rozwiązaniu sprawy pomaga mu Inkwizytor Brooks i mistrz sztuk magicznych doktor Jeremy Malcolm z Middleton. Krok po kroku, po nitce do kłębka mężczyźni odkrywają zagadkę i w porę reagują, by powstrzymać zbierający się Sabat na Wzgórzach Noah.

Apostata to już ostatnie z opowiadań zamieszczonych w powieści. Tutaj bohaterem jest przyjaciel Wellingtona – Hangbeck, który także otrzymuje zlecenie od szefa wydziału. Jego śledztwo nie wykracza poza Dent, ale bezpośrednio łączy się z morderstwem, którego dokonano przy użyciu mocy zza Otchłani. Tym razem sprawa jest dużo poważniejsza niż poprzednio. Jedną z ofiar jest wnuczka Mistrza Gildii Magów, a sprawa na kilometr śmierdzi nie tylko trupem, ale polityką i ksenofobią.

Każde opowiadanie na swój sposób jest wyjątkowe, a oderwanie się od lektury niestety jest bardzo trudne. Kolejnym atutem książki jest dość skomplikowana struktura społeczno-polityczno-religijna. Znajdziemy tutaj przedstawicieli wielu wyznań, wiele kultur, które w mniejszym

lub większym stopniu są do siebie wrogo lub przyjaźnie nastawione. Świat Ekumeny bogaty jest w szczegóły. Autor nie szczędzi nam opisów sytuacji geopolitycznej, czy relacji pomiędzy poszczególnymi ugrupowaniami.

Książka bardzo mi się podobała, jednak czasami miałam wrażenie, że niektóre akcje pociągnięte są jakby na siłę, a trzy różne powieści można by było zamienić na trzy oddzielne książki, aczkolwiek doceniam autora za sam pomysł i konwencję, w jakiej utrzymana jest powieść.

Zatem jeśli macie ochotę na książkę pełną przygód i tajemnic, koniecznie sięgnijcie po *Apostatę* Łukasza Czarneckiego i zatopcie się w kartach powieści. Pozostaje tylko jedno: kim jest tytułowy Apostata? Tę zagadkę pozostawiam do rozwiązania wam, drodzy czytelnicy.



Sylwia Gudyka – miłośniczka literatury fantasy i science-fiction. Pogromczyni błędów językowych i autorka tekstów z gatunku fantasy. Na co dzień prowadzi bookstagrama @fantastyka.w.recenzji.

Niepostępowa staroświeckość

Michał Krawczyk

Drodzy Państwo, potraktuję ten tekst jako otwarte przyznanie się, że jestem osobą staroświecką. „O zgrozo!” – tak pewnie pomyśleliście. Stwierdziłem, że wypadaloby czasem wzbudzić jakieś kontrowersje i zszokować społeczeństwo, zwłaszcza że u nas autorów i pisarzy mało się dzieje. W przeciwieństwie do naszych bohaterów literackich.

Staroświecki (wg Słownika języka polskiego PWN):

1. pochodzący z dawnych czasów, niemodny,

2. mający przestarzałe zasady, poglądy; też: właściwy takim ludziom.

Pewnie teraz spojrzeli Państwo na zdjęcie, które znajduje się pod tekstem, aby mniej więcej postarać się ocenić moją liczbę wiosen. Żeby wszystko uściślić, to od razu przyznam się do wieku, bo nie zamierzam go ukrywać. W grudniu skończę dwadzieścia dziewięć lat (nic nie robiłem sobie z twarzą u chirurga... przynajmniej na razie) i uwaga...! Teraz zapnijcie pasy.

1. Nie czytam e-booków. Dla mnie czytanie to wyłącznie trzymanie w rękach książki. Zapach tej świeżo

wydrukowanej to coś pięknego. Lubię też zapach starych wydań z biblioteki z pożółkłymi stronami.

2. Tak, chodzę do biblioteki. Wypożyczam książki. Zdarza mi się zadzwonić, aby zarezerwować konkretny tytuł. Wypożyczam też archiwalne numery czasopism.

3. Tak, czytam gazety i często odwiedzam kioski. W oczekiwaniu na pociąg zaglądam do punktu prasowego mieszającego się na dworcu i zawsze kupuję magazyn na drogę. Jestem jedną z nielicznych osób, które czytają w pociągu wydania papierowe. Kiedyś konduktor zwrócił się do mnie: „O, jaki miły widok widzieć kogoś czytającego gazetę, bo wszyscy pochyleni wpatrują się w ekran smartfona, opukując go palcami”. Rzeczywiście obserwuję to samo, idąc do Warszawy po kawę.

4. Tak, długim korytarzem pociągu chodzę do Warszawy. Nie zamawiam kawy przez aplikację, aby podano mi do konkretnego wagonu i pod zamówione przeze mnie miejsce.

5. W dużym sklepie nie korzystam z kas samoobsługowych. Jestem

przyzwyczajony do tego, że obsłuży mnie kasjer, z którym mogę zamienić słowo, od którego usłyszę: „Czy może być bez grosika?“, i który od razu będzie wiedzieć, czy pomidor jest zwykły czy malinowy. Pomimo tego, że zaoszczędziłbym czas, to wolę odstać swoje w kolejce.

6. Nie lubię blików i przelewów realizowanych przez internet. Mam ogromną frajdę, kiedy mogę zapłacić rachunek mojej mamy w banku albo na poczcie. Pani przystawia okrągły stempel z datą, a mama wszystkie potwierdzenia spina spinaczem i chowa do koperty. To cały książkowy urok staroświeckości.

Chociaż wychowałem się w czasach opartych na nowych technologiach, to uchowały się we mnie przyzwyczajenia, z których ciężko mi zrezygnować. Część z nich wyniosłem z domu. Oczywiście wiem, że trzeba iść z postępem, ale moja niepostępowa staroświeckość bardzo mi pasuje. Trudno jest mi przerzucić się z papierowej książki na e-booka. Czasem czuję się jak odmieniec, jadąc na wakacje z czterema tomiszczami, podczas gdy mógłbym zabrać czytnik i dzięki temu zrezygnować z plecaka. Finalnie, mimo tego, że się uszarpię, nadźwigam, przedźwigam, to wygodnie jest mi czytać kartka po kartce. Czasy się zmieniają, ale moja miłość do pewnych rzeczy nie.

Przybijam piątkę wszystkim, którzy tak jak ja są staroświeccy i nie wyobrażają sobie e-Ciechocinka na starość. W moim przypadku turnus online nie wchodzi w grę. Muszę tam pojechać najstarszym składem pociągu i osobiście kupić kawę w Warsie.



Michał Krawczyk – na rynku wydawniczym pojawił się w 2021 roku. Tworzy powieści i opowiadania. Głównie komedie, aby dostarczyć czytelnikom dawkę humoru. Jego debiut literacki *PRZYPADEK? NIE SĄDŹ!* będzie ekranizowany, czym Michał spełni jedno ze swoich marzeń.
Instagram [@_michalkrawczyk_](#)

Słowo dali

REDAKTOR NACZELNY

Mateusz R.M. Rogalski – autor powieści fantasy *Obroncy Ahury* i bajki *Zamki i Roboty*. Prezes Polskiego Stowarzyszenia Autorów Niezależnych „Samowydawcy”, redaktor antologii *Własna ścieżka* i *Ślady na śniegu* i *Opowieści przy ognisku*.

ZASTĘPCZYNI REDAKTORA NACZELNEGO

Monika Litwinow – kynoterapeutka, bajkoterapeutka, instruktorka jogi dla dzieci, autorka powieści kryminalnych *Za lasami* i *W gaju*, redaktorka naczelna czasopisma „Zajęcia z Psem”, właścicielka Centrum Terapii i Edukacji BAJARNIA.

W „Daję Słowo” odpowiada za:

- Słowo osobiste
- Gra Słów.

Izabela Redesiuk – optymistycznie nastawiona do świata kobieta z zamiłowaniem do tworzenia nowych światów i historii. Autorka powieści *Przepowiednia*.

W „Daję Słowo” odpowiada za:

- Wysłowione
- Odmierzone słowami
- Innymi słowy.

Klaudia Sypniewska – projektantka logotypu czasopisma. Mieszka w internecie. Na co dzień tworzy content i działa jako social media manager. Tworzy, kreuje, projektuje. Jej pies Antek ponoć ma z nią za dobrze, ale jak sama mówi, cóż począć, skoro kocha psy.

Magdalena Gumowska – z zawodu optometrystka, prywatnie twórczyni projektu podróżniczego *Dobrze Pojechane*, coraz częściej zajmuje się oprawą graficzną książek. Interesuje się zagadkami kosmosu.

W „Daję Słowo” odpowiada za:

- skład i łamanie
- oprawę graficzną

mag.gumowska@gmail.com

D.B. Foryś – z wykształcenia programista i grafik, redaktor po godzinach, pisarz z zamiłowaniem. Zadebiutowała cyklem powieści *Tessa Brown*.

W „Daję Słowo” odpowiada za:

- projekt okładki.

www.dbforys.pl

REDAKCJA

Janusz Muzyczyszyn – poeta, pisarz i redaktor. Pisze od sześciu lat i przez ten czas wydał trzy tomiki wierszy i trzy powieści obyczajowe, prowadzi również bloga.

W „Daję Słowo” odpowiada za:

- Słownik Autorów
- Słowa dobrane.

KOREKTA I REDAKCJA POD NADZOREM JANUSZA MUZYCZYSZYNA

Jagoda Biskont – absolwentka Akademii korekty tekstu. Z wykształcenia archeolog. Wykonuje redakcję i korektę tekstów przeznaczonych do publikacji.

www.kropkajagodabiskont.pl

Katarzyna Mróz-Jaskuła – od wielu lat związana z branżą wydawniczą. Od dwóch lat prowadzi własne studio graficzne Wielogłoska. Zajmuje się projektowaniem, składem, korektą i przygotowaniem do druku książek.

www.wielogloska.pl

Alicja Szalska-Radomska – redaktorka, korektorka i recenzentka. Uzależniona od literatury, filmu i gier. Zależy się w bajkach, komediach i fantastyce.

alicja@pracowniamuz.pl

Anna Michalik-Czarnecka – mgr filologii polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego. Miłośniczka książek, zwłaszcza literatury okresu XIX i XX wieku oraz poezji. Prowadzi swój bookstagram na IG [@aniaikniazki](https://www.instagram.com/aniaikniazki), wykonuje korekty tekstów.

SKŁAD NUMERU 4

Anna Hat – redaktorka i składaczka. Od roku prowadzi firmę Ani słowa. Prywatnie amatorka szwendania się bez celu. Stawia pierwsze żółwie kroki w świecie marketingu wydawniczego.

www.anislowa.com.pl

IG [@anislowa99](https://www.instagram.com/anislowa99)

PATRONAT MEDIALNY:

